ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 października 1938

WYDAJEMY WE LWOWIE
55 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

STEFAN WODWICZ

PROBLEM WODZA

W oczach zwolenników subjektywistycznego poglądu na czynniki motoryczne historji znaczenie wodza, wielkiego człowieka, osobistości historycznej, urasta do olbrzymich rozmiarów. Indywidualność ludzka jest jedynym twórczym elementem zmian społecznych, oderwanym od wszelkiego objektywnego procesu dziejowego. Legenda państw totalnych, czy choćby państw autorytatywnych starego typu podchwytuje ten pogląd na znaczenie wybitnej jednostki, odpowiednio fałszując fakty. Legenda ta ujmuje problem twórczej indywidualności w sposób niesłychanie wąski, możnaby powiedzieć monopersonalistyczny. Rozdymając znaczenie indywidualności „wodza" pomniejsza zupełnie świadomie znaczenie innych wybitnych indywidualności i dlatego jest fałszywem zastosowaniem subjektywistycznego poglądu na rolę jednostki w historji.

W świetle legendy totalistycznej „wódz" jest wszystkiem w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości. Przypisuje mu się cechy boskie: wszechwiedzę, wszechobecność i wszechmoc. Nierzadko w ustach faszystów, uważających się zarazem za ludzi religijnych, można znaleźć zdanie: „Dzięki Panu Bogu i Wodzowi uzyskaliśmy takie a takie sukcesy". Od takiego sformułowania krok tylko do wznowienia tradycji pogańskiego Rzymu — nakazanego prawem oddawania czci boskiej cezarowi. Zresztą i w późniejszych autokracjach chrześcijańskich odnajdziemy taki stosunek do panującego lub wodza.

Wódz musi mieć nieskalaną przeszłość, co więcej — przeszłość pełną heroizmu, antycypującą niejako późniejszą jego rolę historyczną. Wódz musi mieć za sobą młodość pełną czynów wojennych lub przynajmniej dziesięciu prac Herkulesa. Legenda totalistyczna często rozdmuchuje nieznaczne epizody z żołnierskiej przeszłości wodzów do rozmiarów decydujących zwycięstw lub zwrotnych momentów, od których zależał dalszy los narodu i świata.

Uważny socjolog, badający przedewszystkiem objektywne przyczyny procesów społecznych i w tych przyczynach upatrujący motoryczny pierwiastek dziejów, odrzuci zarówno legendę totalistyczną, jak i wszelkie subjektywistyczne wyolbrzymianie roli wodzów. Nikt jednak nie zaprzeczy, że problem „wodza" i jego indywidualności posiada pierwszorzędną wagę zwłaszcza w społeczeństwach typu autokratycznego, w szczególności zaś w najnowszej ich formie totalistycznej. „Wódz" jest tu instytucją społeczną, funkcją, która wyrasta z najistotniejszych cech ustroju. W każdym ustroju, który nie opiera się na demokracji lub odszedł od zasad demokratycznych, istnieje potrzeba czynnika nadrzędnego, autorytetu rozstrzygającego o kierunku dążeń i o prawowierności poglądów. W demokracji takim ostatecznym autorytetem jest wola ludu, uzewnętrzniająca się w takiej lub innej formie prawnej. W autokracji wszelkiego typu musi istnieć t. zw. „czynnik decydujący".

Indywidualność „wodza" odgrywa przytem mniejszą rolę w autokracjach starego typu, zwłaszcza w monarchjach. „Wodzem" niejako automatycznie zostaje osoba, predystynowana do tego przez jakąś zasadę legitymistyczną. Zasadę tę uświęca religja, wyprowadzając władzę pomazańca wprost z woli Bożej. Oczywiście, istotnie decyduje o kierunku rządów realna gra interesów i sił społecznych, ale jak wielka jest rola „zasady legitymistycznej", świadczą o tem liczne długotrwałe i krwawe wojny domowe, reprezentujące wprawdzie walkę określonych grup społecznych, ale prowadzone pod hasłem zwycięstwa takiej lub innej zasady legitymistycznej. Przypomnimy tylko o wojnie „Białej i Czerwonej Róży", o walkach legitymistów, orleanistów i bonapartystów we Francji XIX w., o długotrwałych wojnach karlistowskich w Hiszpanji, wreszcie o zamachu stanu dekabrystów, dokonywanym przeciw Mikołajowi w imię praw do tronu Konstantego.

W współczesnym ustroju totalistycznym zasada wodzostwa nie ma swej podstawy legitymistycznej. Cowięcej, wskutek pomieszania wytworów różnych formacyj historycznych może, jak to jest np. we Włoszech, dojść do współżycia dwóch instytucyj: „czynnika nadrzędnego" starego typu z legitymistycznem uzasadnieniem i „czynnika decydującego" nowego typu bez legitymistycznego uzasadnienia.

Skoro jednak „wódz" typu totalistycznego nie ma uzasadnienia legitymistycznego, skoro nie ma sakralnej sankcji religji, musi odpowiadać pewnym warunkom, któreby uzasadniały to wyjątkowe znaczenie, które mu przypisuje totalistyczna legenda. Namiastką legitymizmu dynastycznego jest legitymizm fikcji woli narodu. Wódz musi wyrastać z woli narodu, objawionej rzekomo w rewolucji narodowej, potwierdzanej częstokroć przez fikcję plebiscytu ludowego. Namiastką sankcji sakralnej jest swoisty mistyczny stosunek do instytucji i osoby wodza, będący organiczną częścią ideologji ruchu faszystowskiego. Te cechy jednak są nie tylko właściwe współczesnemu totalizmowi. W rzymskim cezaryzmie i w bonapartyzmie u obu Napoleonów można już wykryć te pierwiastki.

Cechą, która wyróżnia współczesnych wodzów w państwach totalnych, jest zdolność do demagogji, do ujarzmiania mas słowem, dialektyką umiejętną, chociażby fałszywą i postawioną na głowie, sprytem w lawirowaniu wśród sprzecznych interesów klasowych współczesnego antagonistycznego społeczeństwa.

W dojrzałych formacjach faszystowskiego totalizmu w Niemczech i we Włoszech nie wyrósł do roli „wodza narodu" wódz armji. Sława wojenna i czyn orężny nie są jeszcze dostateczną legitymacją, nie uzdolniają do objęcia „rządu dusz" we współczesnym totalistycznym ustroju. Mimo całej popularności marszałka Hindenburga, nie on został wodzem „odrodzonego w rewolucji narodowo-socjalistycznej narodu niemieckiego", lecz były malarz pokojowy — Adolf Hitler. Dyktatury wojskowe i półwojskowe w krajach Europy Środkowej i Południowej wykazują całkowitą nieporadność zaprawionych w bojach generałów w kierowaniu antagonistycznem społeczeństwem. Bo społeczeństwo naszej epoki, nawet społeczeństwo ujęte w kleszcze ucisku, ma strukturę zbyt skomplikowaną, która nie przypomina w niczem struktury batalionu, dywizji, armji czy korpusu. Awans z dowodzenia korpusem na dowodzenie społeczeństwem jest najtrudniejszym szczeblem karjery wojskowej. Zwolennicy pasowania „wodza armji" na totalistycznego „wodza narodu" częstokroć operują argumentem, naciąganym nawet w oczach własnych zwolenników, że potrzeby obrony narodowej, technika wojny totalnej wymagają absolutnego podporządkowania całego narodu woli przyszłego naczelnego wodza armji. Ta rzekoma prawda jest fałszem absolutnie, gdyż przykład demokracyj wskazuje na sytuację odmienną, jest także fałszem względnym, w stosunku do faszystowskiego typu ustroju, gdyż tam właśnie wódz, wyrosły z przewrotu faszystowskiego podporządkował sobie tak armję, jak i społeczeństwo cywilne.

Również nie ma kwalifikacyj na wodza w dojrzałej formacji totalistycznej sprytny portugalski profesor Salazar, który rozpoczął swoją karjerę, jako minister skarbu, zniesieniem etatów niższych i średnich funkcjonarjuszy państwowych i przekazaniem organizacji tych służb naczelnym kierownikom resortów administracji państwowej na własny rachunek i ryzyko w zakresie udzielonych im na ten cel pewnych sum ryczałtowych.

Zarówno wojskowy, jak i taki biurokratyczno-profesorski typ wodza ma wszelkie kwalifikacje, aby wesprzeć swój régime na jednym z filarów systemu faszystowskiego: sile fizycznej, wyrażającej się w terrorze w stosunku do przeciwników, w trzymaniu w ucisku i strachu szerokich mas ludowych. Brak mu jednak innych równie ważnych kwalifikacyj: psychicznego ujarzmiania szerokich mas demagogją. Tak jak ruch faszystowski musi mieć przed dojściem do władzy szeroką podstawę masową, tak samo wódz musi mieć zdolności trzymania tej podstawy masowej w stanie ciągłego napięcia, umiejętność kierowania nastrojów mas w łożysko pożądane dla systemu.

Wódz faszystowski musi wyrastać z ruchu masowego. Musi być dobrym, umiejącym grać na uczuciach tłumów mówcą, aby na okrzyk tłumu: „Wodzu, przemów!", nie potrzebował odpowiadać kilkoma zdawkowemi frazesami o doniosłych zadaniach państwowych, zmuszających go do odejścia.

Toteż ruch faszystowski robiony odgóry, powołany niejako do życia przez wodza, dysponującego władzą, należy zaliczyć do patologji faszyzmu.

W zabawnej sytuacji znajdują się ruchy faszystowskie w krajach, gdzie objektywne warunki powołały do życia kilka, lub nawet wiele grup, pretendujących do odegrania roli decydującej. Każda grupa lansuje własnego kandydata na przyszłego wodza, oddając mu już zawczasu najwyższą cześć boską i ludzką. Powstają partje, złożone z najbliższych krewnych, przyjaciół i zauszników wielkiego człowieka. Zabawnych efektów dostarcza przytem detronizacja niedoszłego wodza połączona z wylewaniem wszelkiego rodzaju pomyj na jego biedną, pozbawioną nimbu głowę. Francja przeżyła taką tragifarsę po zdyskwalifikowaniu przez obóz prawicowy kandydata na wodza pułk. de la Rocque'a, Polska na zupełnie mikroskopijną skalę miała swoją „deführeryzację" Jana Mosdorfa, pierwszego przewódcy O. N. R.

Charakterystyczne jest, że przewódcy wielkich masowych ruchów faszystowskich albo rekrutują się z renegatów marxizmu, albo też wyrabiają sobie w długotrwałej walce z partjami socjalistycznemi coś nakształt dialektycznego ujmowania rzeczywistości społecznej własnego kraju. Najgorętsi przeciwnicy „walki klas" w praktyce stosują metody, oparte na najskrupulatniejszej analizie istniejących w społeczeństwie sprzeczności klasowych i układu sił poszczególnych klas społecznych.

Dlatego właśnie każdy renegat klasowego ruchu robotniczego w rodzaju Mussoliniego czy Doriota ma wyraźną przewagę nad innymi kandydatami na wodzów. Tylko dzięki długoletniej walce z ruchem socjalistycznym i umiejętnem przyswojaniu zdobyczy marxowskiej analizy i przekręcaniu na swój użytek haseł socjalizmu, mógł Hitler awansować tak wysoko w hierachji współczesnych Niemiec.

Niewiadomo jak da sobie radę z tym problemem faszyzm w krajach, gdzie długie lata półdyktatury wyjałowiły ruch socjalistyczny ze zdolnego materjału na renegatów, ponieważ wszyscy, którzy mieli odejść, odeszli i wykończyli się w obozie faszystowskim wcześniej, zanim zdołali odegrać wybitną rolę, z drugiej zaś strony brak demokratycznych warunków walki partyjnej nie sprzyjał wyrobieniu wodzów narastającego faszyzmu w ustawicznych starciach z demokracją i socjalizmem.

Pozatem nawet w krajach najzupełniej dojrzałego totalizmu pozostaje dotychczas nierozwiązane zagadnienie przekazania atrybucyj i nimbu wodzów ich następcom. Zwykłe przystosowanie dat kalendarzowych w ten sposób, aby urodziny następcy wypadały w przeddzień urodzin poprzednika, niezawsze jest możliwe i wystarczające. Następca zazwyczaj nie będzie już posiadał tej podstawy legitymizmu przewrotu faszystowskiego, nie będzie posiadał cech wodza, które można wyrobić tylko w walce i to w walce równej, toczonej w warunkach legalności życia politycznego. Z tych też względów śmierć Hitlera czy Mussoliniego będzie oznaczała głęboki wstrząs całego systemu faszystowskiego.

W NASTĘPNYM NUMERZE
STEFANA WODWICZA
»GENEZA O. N. R.«

VI. 1. Pr. 411/38. Wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia niejawnego. Sąd Okręgowy, Wydział VI karny we Lwowie w składzie: przewodniczący wiceprezes S. O. Ł. Malicki, sędziowie S. O. R. Michale i S. S. O. W. Boczar w sprawie konfiskaty czasopisma p. t. „Sygnały" z daty Lwów dnia 15 września 1938 r. do Sygn. VI. 1. Pr. 411/38 na posiedzeniu niejawnem w dniu 19 września 1938 r. po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie postanawia: uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 14 września 1938 r. przez Starostwo Grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma p. t. „Sygnały" Nr. 53 z daty Lwów 15 września 1938 r. zawierającego w artykule, zaczynającym się od słów: „List do Pana..." w całości wraz z tytułem znamiona przestępstw z art. 170 i 152 k. k. zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego. Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ust. druk. z 17/12 1862 Dzpp. Nr. 6 ex 1863, t. j. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych. Uzasadnienie: Tak charakter „Sygnałów", reklamujących się w nagłówku jako pismo, poświęcone w pierwszym rzędzie sprawom społecznym, jak i treść wydrukowanego w tem piśmie utworu, p. t. „List otwarty...", wspominającego o Centralnym Okręgu Przemysłowym i Korpusie Ochrony Pogranicza i apelującego w zakończeniu do domyślności czytelnika, przemawia za tem, że zakwestjonowany wiersz posługuje się przenośnią i że jego autor miał w istocie na myśli Państwo Polskie, a co najmniej przewidywał i godził się z tem, że utwór zostanie w ten sposób przez czytelników zrozumiany. Ponieważ w treści wiersza znajdują się zwroty, znieważające Państwo i fałszywe wiadomości z zakresu spraw politycznych, społecznych, gospodarczych i obronnych Państwa, zdolne wywołać niepokój publiczny, wniosek o zatwierdzenie konfiskaty spowodu znamion jednoczynowo zbiegających się występków z art. 152 i 170 k. k. jest uzasadniony. Według §§ 487, 489, 493 p. k. oraz §§ 36 i 37 ust. pras. jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione. Przewodniczący: Malicki wr. Protokolant: Bułyk wr. Za zgodność kier. sekr. podpis nieczytelny.

MIECZYSŁAW HARESZ

Józef Piłsudski i Stanisław Brzozowski

Wśród szeregu bohaterów, którzy wyrastali z kart ‚Płomieni“ Brzozowskiego, aby porywać i uwodzić (do dziś dnia jeszcze) młode i zapalone umysły, brak jest jednego największego.

Brak jest człowieka, który całem życiem swojem z uporem i wytrwałością urzeczywistniał to, o co Brzozowski walczył w swoich pismach, który podjął wątek myśli, jaka się przez „Idee“, „Legendę Młodej Polski“ i „Płomienie“ przewija, i podniósł w społeczeństwie do rangi naczelnej państwowej myśli filozoficznej. Brak jest Józefa Piłsudskiego.

Brak jest go właściwie jedynie „in persona“, opisanego na kartach książki i wplecionego w jej treść.

Kwestją przypadku jedynie było, że pomiędzy dwoma ludźmi, w których narastał prawie jednakowy proces myślowy, nie było żadnego kontaktu osobistego, że nie zeszli się razem na swoich drogach życiowych. Kwestją przypadku i małego znaczenia, bo pomimo braku kontaktu formalnego, kontakt myślowy, zbieżność idei i światopoglądów pomiędzy temi dwoma postaciami była tak znaczna i tak brzemienna w swoich skutkach, że wymaga od tych, którzyby chcieli zrozumieć historję polityczną ostatnich 30 lat w społeczeństwie polskiem — baczniejszej uwagi i głębszego zastanowienia.

SZLACHECKI INDYWIDUALIZM

„Urodziłem się na wsi w szlacheckiej rodzinie, której członkowie zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi, należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani bene nati et possesionati. Jako possesionatus nie zaznałem długo żadnej troski o materjalne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem“ („Pisma Zbiorowe“, tom II, str. 46, „Jak stałem się socjalistą“).

W takich samych warunkach wyrastał młody Michał Kaniowski, bohater „Płomieni“. Wraz ze wspomnieniami starego dworu i szumiących drzew, zapachów siana, pierwszych polowań, zabrał z sobą w życie piętno nieusuwalne, jakie w duszy młodego chłopca wycisnął klimat dworu szlacheckiego z lat 1863, klimat, który tak trafnie odtworzył Ksawery Pruszyński w swojem studjum o Piłsudskim („Istota samotności Piłsudskiego“, „Wiadomości Literackie“, nr. 23, z dn. 9 czerwca 1935).

Ale nie tylko sam fakt szlachectwa decydował o owym klimacie, tak bardzo jednakowym w książce Stanisława Brzozowskiego i w życiu Józefa Piłsudskiego. Decydował jeszcze moment okiełzania tego szlachectwa, podporządkowania go pewnej idei generalnej:

„mógłbym nazwać swe dzieciństwo sielskiem anielskiem. Mógłbym, gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzę z oczu matki i głęboko wżerał się w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 r.“.

„matka nieprzejednana patrjotka... wychowywała nas, kładąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem Ojczyzny“.

Leży w psychice szlacheckiej części społeczeństwa polskiego zapalność, łatwość uniesień, wybuchowość uczuciowa i jeszcze większa łatwość zapomnień. Przywdziewanie ideałów i światopoglądów od wielkiego dzwonu i zwyczajna, bezmyślna trywjalność na codzień, okraszana znagła niespodziewanemi wyskokami szlacheckich gestów.

Toteż atmosfera domu szlacheckiego, w którym sprawa publiczna znajdowała ciągły i nieustanny oddźwięk, mimo upływu lat, w życiu codziennem była czemś wyjątkowem.

Podstawowa cecha szlachetczyzny, anarchizujący indywidualizm, tracił w tej atmosferze swe anarchistyczne właściwości, środowisko zaś, w którem życie potwierdzało idee, nadawało mu cechy indywidualizmu wojującego, świadomego swoich celów. Tu znajduje się źródło zaciekłości i nieustępliwości, jaka cechowała dalszą działalność Józefa Piłsudskiego.

Ale okiełzanie indywidualizmu, skierowanie go w pewne określone łożysko, nie jest równoznaczne z jego przezwyciężeniem czy zniweczeniem. Nie — rzeka, która przedtem płynęła szeroko, tworząc po drodze zalewy i zakręty, gdy ujęto ją w mocne brzegi, płynie silniej, głębszym tylko i bardziej jednolitym nurtem.

We wszelkich ruchach rewolucyjnych znajdziemy dwa typy ludzkie, dwie odmienne struktury psychiczne. Ludzi, dla których ruch jest etapem na drodze do osiągnięcia zdobyczy ogólno społecznych, środkiem do uprzystępniania tych zdobyczy najszerszym warstwom ludności; i ludzi, dla których ruch rewolucyjny jest przedewszystkiem możliwością doskonalenia własnej psychiki, podnoszenia jej na coraz wyższy poziom.

Indywidualizm, którego cechą dominującą w zetknięciu się z ruchami społecznemi jest stanowisko czysto personalne, dające się sprowadzić do zapytania „co ruch mnie daje?“, uzewnętrznia się zresztą w formach, mimo jednolitości wypełniającej je treści, bardzo różnych.

Józef Piłsudski w liście przed wyprawą bezdańską, w liście, który na przestrzeni całych dziewięciu tomów „Pism zbiorowych“ jest może najbardziej bezpośredni, z samej głębi istoty Piłsudskiego płynącem wyznaniem wiary — pisze:

„...proszę cię, byś nie robił ze mnie „dobrego oficera lub mazgaja i sentymentalistę“, t. j. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej. Teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie — te mazgajstwa i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył — takie to słabe i beznadziejne. Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — słyszysz! — ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę!“.

Michał Kaniowski, szlachcic-indywidualista, uczestnik ruchów socjalistycznych i rewolucyjnych po przejściu swojego życia pozostaje sam. Samotność straszna i nieubłagana przynosi mu z sobą poczucie pustki, czegoś niedopełnionego i niedokonanego w życiu. To nie tylko przyjaciele pomarli. Przyjaciele — ludzie, otoczenie to tylko akcesorja zewnętrzne, tak jak wiatr i gałęzie drzew, które za oknami towarzyszą samotnym rozważaniom Kaniowskiego. Samotność — to rezultat procesów, które nie zaszły, to finał indywidualizmu, który nie został przełamany.

Samotność Józefa Piłsudskiego nie miała przyczyny jedynie w tem, że — jak chce Ksawery Pruszyński — „Marszałek pojmował Polskę tak, jak ją pojmowała ideologja 1863 roku, do którego tylekroć powracał“, choć „ideologja 1863 r. jeszcze w tymże roku i następnych potrzaskała się o rzeczywistość“ i że „w toku przemian dziejowych wietrzały przesłanki starej koncepcji, której mimo wszystko służył“.

Ujęcie Ks. Pruszyńskiego, chociaż niewątpliwie oryginalne, jest bowiem fałszywe historycznie. Samotność Piłsudskiego pochodziła z rozdźwięku znacznego, jaki istniał pomiędzy świadomą swojej wielkości i swoich celów indywidualnością Piłsudskiego, a marazmem i tandetnością moralną środowiska szlacheckiego. Z konfliktu, jaki siłą rzeczy powstać musiał między człowiekiem czynu a środowiskiem, czynowi temu się przeciwstawiającem. Tu źródło owej goryczy i pogardy dla społeczeństwa, jaka zalewała niejednokrotnie duszę Piłsudskiego. Tu pomost pomiędzy indywidualizmem, a cechą znamienną wszystkich działań Piłsudskiego — elitaryzmem.

SOCJALIZM CZY KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

Bal maskowy pojęć, jaki istnieje w naszej publicystyce politycznej i na który zwracano już uwagę na łamach „Sygnałów“, trwa nadal. Gdy tłumaczy się upartemu milusińskiemu, że puzonista, to nie słoń — choć też ma trąbę — wywija się on jakimś nieobowiązującym frazesem, proponując dyskusję o kwiatach lub o pogodzie, jako że w równej mierze obchodzą one słonia co i puzonistę.

Przyjmijmy — uczestnikom tego balu jest wygodniej, by pojęcia nie były jasno i wyraźnie definjowane. Wygodniej, gdyż wyjaśnienie pojęć uniemożliwi dowolną interpretację, jaka dotychczas jest stosowana w ocenie pisarskiej lub filozoficznej działalności niektórych publicystów, a w konsekwencji uniemożliwi anektowanie autorytetów do własnych obozów, a o to, zdaje się, głównie w tej maskaradzie chodzi.

Ta aneksja częstokroć par force przeprowadzana wynika m. in. z niejednokrotnie nieuświadomionej, ale mimo to bardzo głęboko tkwiącej w psychice pewnych grup ideologicznych konieczności legitymowania się czyimś dorobkiem, znalezienia dość wyraźnego autorytetu, któryby służył za tarczę w momencie własnej słabości grupy, wreszcie z dążności do szukania poprzedników ideologicznych, do nawiązywania nici tradycyjnych — tam najczęściej, gdzie ich najmniej szukać można.

Ta postawa psychiczna, którą możemy zaobserwować w niejednym obozie, nie bierze się oczywiście sama z siebie, jest wynikiem całego szeregu działań i faktów. Nam wydaje się, że jest ona najklasyczniejszym przejawem kompleksu niższości, jaki dzięki długoletniej akcji pewnych środowisk politycznych stał się zjawiskiem powszechnem i ugruntowanem w psychice polskiej. Że jest wynikiem obawy, iż zostanie się pobitym w walce ideologicznej, jeżeli nie znajdzie się kogoś, ktoby stanął jak taran druzgocący wszystko w tej walce.

Niestety, tak się często zdarza, że pierwszą twierdzą, padającą pod ciosami tego taranu, jest obóz, który się chciał nim posłużyć. Historja konia trojańskiego jest w tym względzie bardzo pouczająca.

Ostatnio spotkaliśmy się z taką próbą „aneksji“ Brzozowskiego dla marxizmu. Próbowano wykazać i dowieść, że Brzozowski był marxistą i socjalistą konsekwentnym do końca swego życia. Argumenty były słabe, pasja natomiast ogromna. Pasja, że Brzozowski mógłby się okazać niesocjalistą i nie-marxistą, a cóż poradzić, gdy właśnie takim się okazał!

Brzozowski był — nazwijmy to tak — socjalistą z tradycji. Z tradycji postępowości, śmiałości myśli, nowoczesności w ujmowaniu zagadnień. Trzeba bowiem pamiętać, że dla swoich współczesnych był Brzozowski reprezentantem myśli filozoficznej Zachodu, najnowszych jej osiągnięć. Był łącznikiem między Zachodem a Polską.

Do tradycji z tamtych lat dochodzi jeszcze rozumowanie, które w samej swej istocie, bez rozległej ornamentyki zewnętrznej, w jaką jest zwykle oblekane, będzie wyglądało następująco:

Pierwsza przesłanka: Brzozowski był najbardziej postępowym pisarzem swoich czasów (ta przesłanka ugruntowana jest na tradycji); druga przesłanka: socjalizm jest najbardziej postępowym kierunkiem filozoficzno-społecznym; wniosek — Brzozowski był socjalistą.

Ale socjalizm i marxizm to nie postęp, ani tradycja postępu, ani jak chcieliby niektórzy uwielbienie dla Marxa. Marxizm — to materjalizm dialektyczny, to przyjęcie wszystkich konsekwencyj z doktryny materjalizmu dialektycznego płynących.

Tego zaś u Brzozowskiego niema.

Chętnie powołują się publicyści, robiący z Brzozowskiego marxistę na działalność literacką pisarza, na jego powieści, na „Płomienie“ i „Książkę o starej kobiecie“, jako najlepszy dowód socjalizmu i marxizmu pisarza.

Tak, ale „Płomienie“, to powieść o socjalistach, nie zaś powieść socjalistyczna. To piękny epos bohaterstwa indywidualnego, przepojony kultem mocnej jednostki. Powieść nawskroś indywidualistyczna, ale — powtarzamy — nie socjalistyczna. Zaś „Książka o starej kobiecie“, to powieść nawskroś nierealistyczna, przepojona mnóstwem osobistych spraw pisarza, w której można się raczej doszukać gryzącej ironji pod adresem marxizmu (rozdział „Sub specie aeterni“), niż marxistowskiego stanowiska.

Zresztą wydaje nam się, że nie tylko w powieściach należy szukać światopoglądu Brzozowskiego. W książce „Idee“, będącej wykładem całej filozofji pisarza, znajdujemy taki ustęp o tem, co jest podstawą i kamieniem węgielnym teorji ekonomicznej Marxa:

„Jednocześnie Marx zadawał sobie pytanie tego rodzaju: jakie czynniki i momenty w istniejącym życiu ekonomicznem prowadzą do wyzwolenia klasy robotniczej, i sądził, że należy szukać ich w tych momentach, które ujednostajniają warunki istnienia klasy robotniczej, skupiają ją w wielkich masach przeciw kapitalizmowi.

Nie ulega już wątpliwości, że praca Marxa, o ile przedstawia odpowiedź na to pytanie, a więc praca, wypełniająca większość liczebną stronnic przez niego napisanych, jest nawskroś błędna, t. j. nie tylko rozwój ekonomiczny nie zdąża w kierunku przez niego wskazanym i nie przekształca się w sposób przewidywany przez niego, ale co więcej warunki, od których uzależniał on wyzwolenie klasy robotniczej, nawet gdyby zostały zrealizowane, nie sprzyjałyby jej wyzwoleniu“ („Idee“, str. 325—326).

Wśród zawiłym naogół stylem pisanych wypowiedzi pisarza ta odbija swoją prostotą i zwięzłością. Brzozowski określa zasadniczy trzon pracy Marxa — jako nawskroś błędny. Jeżeli odrzucamy cały polityczny aspekt teorji Marxa, cóż z niej pozostaje — może zapytać czytelnik. Pozostawmy odpowiedź tym, którzy w Brzozowskim widzą marxistę.

Rozróżnienia, jakie między Marxem i Engelsem czyni Brzozowski, zarzucając Engelsowi, że nie ma z Marxem nic wspólnego, mogą być ciekawe dla teoretyków marxizmu. Przeciętny jednak czytelnik odniesie z nich jedynie wrażenie pewnego chaosu myślowego i rozdwojeń, miejscami zaś zwielokrotnień myślowych — wrażenie, które potęguje się w miarę zapuszczania się coraz głębszego w ścieżki rozważań Brzozowskiego, ścieżki zarosłe niesłychaną zawiłością i literackością stylu w sprawach, wymagających — nie tylko zresztą od marxisty — określeń jasnych i precyzyjnych. Gdy dochodzimy bowiem do kwestji produkcji ekonomicznej, Brzozowski powiada:

„Przeciętna inteligencja nie zdaje sobie sprawy, że produkcja ekonomiczna, to nie jest czysto mechaniczna konsekwencja, wypływająca z pewnych teoretycznych teorematów, ale nieskończenie skomplikowane zjawisko życiowe, twór długiej pracy, długiego samowychowania, coś, co trzyma się na nieskończenie subtelnej równowadze poglądów, potrzeb, wrażeń i uczuć“ („Idee“, str. 267).

A jak dobrze charakteryzują stosunek Brzozowskiego do marxizmu następujące wypowiedzi, jakie czyni on przy omawianiu dzieła Jerzego Sorela: „To co wysuwa się na plan pierwszy w socjalizmie jest obojętne dla Sorela, lub też stanowi przedmiot jego niezmordowanej krytyki“ — zaś o parę wierszy dalej: „Ta strona pracy Sorela stanowi jego olbrzymią zasługę dziejową i cała jego krytyka socjalizmu zawiera najgłębsze prawdy wypowiedziane o ludzkości nowoczesnej, o współczesnym nam stanie kultury europejskiej“.

Oto socjalizm, oto marxizm!

Ale nie jest dla nas najważniejsze stwierdzenie, nie ulegające już wątpliwości, że Brzozowski marxistą nie był. Chodzi nam o uchwycenie poprzez liczne zwroty i załamania, jakie przechodziła myśl pisarza, poprzez liczne jej zwielokrotnienia i sprzeczności wewnętrzne, tego jej wątku, który waży w ostatecznym rozrachunku, który zapłodnił umysły współczesnych i który wreszcie został przez Józefa Piłsudskiego w czyn wprowadzony.

NARODOWY SOLIDARYZM

Niezwykła chłonność i wrażliwość umysłu Brzozowskiego na wszelką myśl filozoficzną, przychodzącą z Zachodu odbija się wyraźnie w jego książkach. Swoistym kompleksem było to korzenie się Brzozowskiego przed Zachodem, to chwytanie i przetrawianie natychmiastowe wszelkich zachodnich nowości. Pojawia się Bergson — Brzozowski chłonie Bergsona; neokantyści i Kelles-Krauz zajmują się stosunkiem Marxa i Engelsa — pojawia się Anti-Engels Brzozowskiego; Loisy i Newman zostali skolei przetrawieni w książkach Brzozowskiego, a znajdzie się tam jeszcze miejsce na zachwyty nad Meredithem, Vico, i wielu innymi. Wszyscy oni służyć mają do pełniejszego, wszechstronniejszego wykształcenia się pozytywnej myśli filozofa — myśli, którą wreszcie najsilniej podpiera Jerzy Sorel, „jedna z najgłębszych i najczystszych sił moralnych współczesnego świata“ („Idee“, str. 272).

Sorelowski kult pracy, wiodący prostą drogą do elitaryzmu i solidaryzmu, stawiający w miejsce walki klas poczucie jedności w dokonywanym wysiłku, jest przeciwstawnością marxizmu w ujęciu filozoficznym, zaprzeczeniem demokracji w życiu politycznem.

Na Zachodzie rozwój filozofji, zapoczątkowanej przez Sorela poszedł dwoma nurtami. Stronę teoretyczną podniósł i rozwinął Vilfredo Pareto, praktyczne jej działanie ujawniło się w ruchu syndykalistycznym. Klamrę, łączącą oba te równoległe zresztą prądy, zamknął w roku 1922 Benito Mussolini.

W Polsce najwybitniejszym znawcą i wyznawcą Sorela był Stanisław Brzozowski. Spośród gąszczu sprzeczności, niesłychanie subjektywnego i wielokrotnie całkiem literackiego ujmowania zjawisk, koncepcja solidaryzmu narodowego wyłania się jako trzon zasadniczy pozytywnej myśli Brzozowskiego.

W „Ideach“ (str. 251) pisze Brzozowski:

„Wiem i wierzę głęboko, całą istotą wierzę, że jest ludzkość, że człowiek sam jako taki prowadzi, tworzy zbiorowe dzieło, ale organami jego życia są narody i myśl nasza działa tylko przez nie“.

Brzozowski wierzy i uznaje naród jako najwyższą instancję, jako formę ostateczną, w której przejawia się myśl ludzka.

Brzozowski wierzy — ten moment wiary jest bardzo charakterystyczny dla wszystkich bezmała osądów i określeń pisarza, jeżeli dotyczą one strony pozytywnej jego poglądu na świat.

Naczelną normą klasyfikacyjną jest dla Brzozowskiego norma etyczna. Spotykamy się w pracy pisarza nie z przedstawieniem faktów lub rozwoju myśli, ale z ciągłą, nieustanną ich oceną. Zanim możemy je dojrzeć poprzez zawiły i barokowy styl pisarza, widzimy wprzód jego stanowisko wobec nich. Zaś stanowisko to, jak już powiedzieliśmy, opiera się na normach etycznych, czysto subjektywnych.

Każda myśl jest dla Brzozowskiego głęboka, tragiczna, wzniosła, słuszna, lub nie do przyjęcia. Gdy pisze o swoim stosunku do świata zewnętrznego, zarówno myśli jak i faktów, używa określników: wierzę, uznaję, czuję, chciałbym, pragnąłbym.

Żadna rzecz nie dzieje się u Brzozowskiego sama z siebie, lub z następstwa faktów ją poprzedzających, wynika natomiast z czysto subjektywnych kryterjów pisarza, z jego wiary, z jego skali doznań moralnych.

Ale to nie jest już wpływ Sorela, to predyspozycja osobista pisarza, dzięki której światopogląd idealistyczny mógł wreszcie wykształcić się w Brzozowskim, jako główny pion konstrukcyjny jego filozofji.

Jakże wyraźnie zaznacza się ten stosunek pisarza do rzeczywistości w jego wypowiedziach politycznych:

„Któż może bez bólu i wstrętu studjować tę nędzną i tragiczną grę (tragiczną, bo idzie o istnienie i przyszłość narodu), jaką uprawiają dzisiejsi republikańscy parlamentarni, demokratyczni, radykalni i

socjalistyczni władcy Francji, jeżeli posiada jakieś własne i odrębne pojęcie i odczucia godności ludzkiej, prawdy, wiary i patrjotyzmu".

Ileż aktualności zawiera w sobie to namiętne oskarżenie, pisane przeciw porządkowi rzeczy nie z roku 1938 — jakby się wydawać mogło — ale z roku 1908! Brzozowski odwołuje się do poczucia godności ludzkiej, własnego i odrębnego, jakie chciałby znaleźć u swych czytelników.

I jakgdyby odzew na tej samej zupełnie fali, jak oddźwięk na tę samą nutę nastrojonego kamertonu brzmią słowa z listu Piłsudskiego do Perla:

„Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — słyszysz! — ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą".

Ten moment apelacji do godności ludzkiej, do indywidualnych wartości etycznych, jako decydujących i podstawowych w nowym porządku, jest charakterystyczny dla wszelkich kierunków solidarystycznych. Przecież i faszyzm i hitleryzm od tego właśnie zaczynały swoją karjerę życiową. Od reformy życia zbiorowego w kierunku oparcia jej — według ich teoretyków — na niezniszczalnych i trwałych wartościach moralnych jednostki.

Bardzo wyraźnie występuje też w wypowiedziach Brzozowskiego inny zasadniczy moment programów solidarystycznych; jest nim negowanie istniejącego podziału społecznego i politycznego i szukanie ogólno-narodowych pierwiastków, jako dominujących w budowie państwowej.

„Nie wierzę, aby dzisiejsze polityczne europejskie ugrupowania reprezentowały trwałe i twórcze siły narodów, wierzę i wiem, że siły te są we wszystkich partjach i że potrzeba nam przedewszystkiem, byśmy poczuli jedność tych twórczych sił, tych wszystkich elementów, które wytwarzają nasze istnienie materjalne, naszą dyscyplinę moralną, charakter i wolę, słowem: sumę naszych narodowych zdolności do życia" („Idee", str. 297).

Solidaryzm w wypowiedziach swoich jest wszechogarniający — nikt z chętnych nie będzie odepchnięty, nic wartościowego skądkolwiekby przychodziło, nie będzie odrzucone. Solidaryści nie zrzekają się niczego, co w ich mniemaniu stanowi przyczynek do budowy społecznej, opartej o wspólny wysiłek. Brzozowski pisze:

„Nie zrzekamy się żadnej myśli, żadnej wartości: mamy stworzyć życie istniejące mocą własną i w samej budowie psycho-biologicznej Polaka musi być ugruntowana łączność z życiem natężonem, twórczem" („Idee", str. 261).

Tak ukazuje nam się światopogląd pisarza, który przez znaczny odłam współczesnych mu i przez wielu współczesnych nam publicystów uważany jest za reprezentanta filozoficznej myśli socjalistycznej, reprezentanta marxizmu.

Pisząc o swojem dzieciństwie, o latach szkolnych, o tak bardzo mocnem napięciu wychowania patrjotycznego, jakie otrzymał w domu i jakie pogłębiło się w latach pobytu w gimnazjum — stwierdza Józef Piłsudski („Jak stałem się socjalistą", „Pisma Zbiorowe", t. II, str. 46): „...Ten patrjotyzm rewolucyjny nie miał określonego kierunku społecznego". W czasach, gdy mieć określony kierunek społeczny znaczyło poprostu: być socjalistą, narodowolcem blankistą, czy wreszcie marxistą — tak właśnie było. Piłsudski był przedewszystkiem patrjotą — cel naczelny, jaki widział przed sobą, to wywalczenie Polski niepodległej.

Przeprowadzając bardzo głęboką analizę myśli i działań Józefa Piłsudskiego, Ksawery Pruszyński pisze w swoim artykule p. t. „Istota samotności Piłsudskiego": „Całe lata socjalizmu Piłsudskiego można pojmować jako kierowanie ruchów klasowych, dążeń narodowych i społecznych w ten sam nurt, w jaki chcieli go skierować o kilkadziesiąt lat wcześniej Goszczyński i kasztelan Dembowski, ofiary rzezi galicyjskiej. Pod wielką ogólnoklasową i ogólnonarodowościową ideologję Polski 1863 r. starał się zgarnąć elementy społeczne, narodowe, klasowe, usuwające się wprost spod nóg".

Wydaje nam się to stanowisko Pruszyńskiego nadwyraz słuszne w tem, że rozróżnia on to, czego wielu publicystów i polityków rozróżnić nie może: działalność wśród socjalistów od działalności socjalistycznej.

Trzeba zaś odróżnić te dwie całkowicie odrębne od siebie sprawy, jeżeli nie chce się popełniać błędów, które mszczą się potem nie tylko na błądzącym, ale i na jego środowisku.

BUDOWA ELITY

Punkt styczny, a raczej płaszczyzna, na której stykają się dwa nurty: jeden płynący z książek i artykułów Stanisława Brzozowskiego, drugi zaś żłobiony życiem Józefa Piłsudskiego, to socjalistyczne i demokratyczne środowisko krakowskie, z którego wyszły Legjony i cały obóz niepodległościowy.

Całe to środowisko znalazło w Józefie Piłsudskim najlepszy wykładnik swoich nieuświadomionych niejednokrotnie dążeń, w podporządkowaniu się jego woli i jego działaniom — wyzwolenie od konfliktów nierozwiązywalnych i sprzeczności, do jakich doprowadzała ich wybiegająca dalej naprzód i ogarniająca całkowicie nowe, nieprzewidywane przez nikogo ze współczesnych mu horyzonty myśl Stanisława Brzozowskiego.

Ale nie chodzi nam w tej chwili o wyświetlanie wpływów Brzozowskiego i Piłsudskiego na środowisko krakowskie. Temat to zbyt obszerny i poważny. Chodzi nam o zwrócenie uwagi na jeden z aspektów zewnętrznych zarówno ideologji Brzozowskiego, jak i działalności Piłsudskiego, na formę, w którą wlewała się treść narodowego solidaryzmu, na elitaryzm.

Przeświadczenie o niemożności osiągania postępu ruchami masowemi, o konieczności tworzenia — gdy chodzi o tworzenie pionierskie i pchające naprzód wóz społeczny — w małych i ściśle zespolonych grupach ludzi, którzy sami osiągnąwszy wyższy od innych stopień rozwoju kierować będą mogli społeczeństwem, oni, wiedzący, w jakim kierunku prowadzą, społeczeństwo zaś ufne w nich, jako w swoich kierowników, — przeświadczenie takie z biegiem lat zmieniło całkowicie swój sens społeczny.

W czasach narodowolców, gdy ruchy społeczne pobudzane były i kierowane przez nieliczne grupy inteligenckie, które, wychodząc ze swego środowiska i łącząc się z innemi klasami społecznemi tworzyły w nich niejako elitę — przeświadczenie to było synonimem postępu.

Elitarna forma działania była tą, przez którą najlepiej mogła się urzeczywistniać postępowa myśl społeczna. Ale z biegiem lat, w miarę demokratyzacji życia publicznego w dziedzinie politycznej, kulturalnej i społecznej, w miarę, jak narastające ruchy społeczne uzyskiwały kierownictwo wozu państwowego, postawa elitarna stawała im wpoprzek, precyzowała się jako przeciwstawność demokracji, wreszcie jako forma najdogodniejsza organizacji prawno-państwowej w jakiej realizowały się ruchy solidarystyczne i nacjonalistyczne.

Źródła elitaryzmu Józefa Piłsudskiego są wielorakie. Jednym z nich była niewątpliwie pogarda dla otoczenia, w którem pędzić mu wypadło lata szkolne uniwersyteckie i lata pierwszych działań bojowych, otoczenia w najwyższym stopniu oportunistycznego. Atmosfera jego była dla Piłsudskiego „wychodkowa". Ale nie tylko szlachecko-oportunistyczne otoczenie mogło utwierdzać Piłsudskiego w przeświadczeniu o niemożności działania na szerszą skalę, o konieczności tworzenia zwartej i szczupłej organizacji, zalążka siły zbrojnej, utwierdzał go też w tem niewątpliwie konflikt, jaki powstawać musiał między własnem jego środowiskiem, z którem zetknął się na uniwersytecie, środowiskiem, które tak wspaniale opisuje Brzozowski w „Płomieniach", a które razić musiało swoją chwiejnością, marzycielstwem, szlachetnością nieokreślonych porywów, poświęceń bez jutra, — jego świadomego swoich celów, widzącego daleko naprzód i zdecydowanego na poniesienie wszelkich trudów w osiągnięciu swoich zamierzeń. Napisze później o tem środowisku: „te mazgajstwa i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył — takie to słabe i beznadziejne".

Rodzi się więc przeświadczenie najmocniejsze, że jedynie zwarta i silna grupa coś w takich warunkach zdziałać może, przeświadczenie, które nie opuszcza już Piłsudskiego aż do końca.

Przeświadczeniu temu daje Piłsudski wyraz we wszystkich swoich pismach, na

każdym kroku swojej działalności. Gdy pisze uwagi p. t. „Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim", i gdy tworzy i doskonali organizację bojową P. P. S., kiedy następnie tworzy P. O. W., i gdy w odrodzonej Polsce gromadzi przy sobie grupę najzaufańszych towarzyszy z P. P. S. i z lat wojennych, i gdy wreszcie kładzie swój podpis na konstytucji z roku 1935.

Ale wróćmy do przedwojennego środowiska krakowskiego, z niego bowiem zbudowana została polityczna elita polska.

Jak już powiedzieliśmy w środowisku tem spotkały się dwa równoległe nurty: filozofja Stanisława Brzozowskiego i czyn Józefa Piłsudskiego, aby zespolić się, dopełnić i stworzyć jedną całość, możliwie pełną i wykończoną. Ale obraz tego środowiska nie byłby pełny, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na trzeci kierunek, który już nie zlewał się z poprzedniemi dwoma, ale przecinał je, krzyżował się z niemi — na demokratyczne i socjalistyczne samopoczucie tego środowiska.

Kto tam wykładał filozofję socjalizmu i demokracji — Stanisław Brzozowski!

Kto demokrację i socjalizm w czyn wprowadzał — Józef Piłsudski!

Cały kompleks sprzeczności wewnętrznych, jaki się wówczas zrodził, z których każda była rysą na całości organizmu, rysą, zapowiadającą coraz głębsze pęknięcia i rozpady, prowadzące do nieuchronnej słabości, cały ten kompleks, który zrodził pomieszanie pojęć, ową wieżę babel współczesnej terminologji filozoficzno-politycznej, jakżeż bardzo opóźnił chwilę zrozumienia, że:

„Ideologja polityczna Marszałka Piłsudskiego w dziwny sposób zbiegała się z nowemi prądami, powstałemi na świecie po wielkiej wojnie" — i że: „Nie potrzebujemy też wyszukiwać obcych bohaterów narodowych, aby się na nich wzorować. Mamy bowiem własnego — Józefa Piłsudskiego. Nie wątpimy o tem, że dla historyka naszych czasów będzie kiedyś trudny do wyjaśnienia fakt, że człowiek ten... był zwalczany przez całe życie przez obóz mieniący się obozem narodowym. Toteż współczesny nacjonalizm polski nie potrzebuje szukać obcych wzorów, ani czcić obcych bohaterów" (artykuł wstępny w nr. 257 z dn. 19. IX. 1938 r. w naczelnym organie O. Z. N. „Gazecie Polskiej").

Mieczysław Haresz

JÓZEF WITTLIN

GAZETA

W porozumieniu z autorem przypominamy tu wiersz, napisany w r. 1925 i opublikowany po raz pierwszy w nr. 17 (69) „Wiadomości Literackich" z dn. 26 kwietnia 1925.

W gorącem piekle ołowiu na czcionki dni nasze topi
Straszliwy szatan Europy: linotyp.

Trą się o siebie jak ciała zdyszane w lubieżnej walce
Oliwnym potem oblane, stalowe, bezwstydne walce.

Krwią świata żywi się potwór, co ludzkie serca prasuje,
Krew na czernidło zamienia i krwią tą życie nam truje.

W tych czarnych młynach sensacji kupuje świat za pięć groszy:
Samego siebie, żarnami machin zmełtego na proszek.

Płachty papieru, człowieczą męką cuchnące całuny,
Codziennie nas obśliniają obleśnym swym pocałunkiem.

Naga blaga jak hycel z wrzaskiem już lasso zarzuca
Na szyję Boga!... O Panie, uciekaj co tchu w Twoich płucach!

Cherlacy w dusznych redakcjach z tryumfem ciskają do kosza
Boską duszę człowieka! To oni — panami są koszar!

„Pollice verso" jak Neron na śmierć skazujesz narody,
Policjo hańby i chwały na służbie zbrodni i mody!

Tajemne planet obroty twój wzrok jaszczurczy już ściga,
Po trupach naszych się toczy twoja cesarska kwadryga.

Z wszystkiego, co jakiś minister na politycznem śniadaniu
Służbowo za naród swój wypił, z urzędu za państwo swe zjadł,
— Ty chwytasz w mig niedogryzki i trawisz w porannem wydaniu
I już je po tobie przeżuwa jak krowi brzuch — cały świat.

Homer, homary i humor, szampion, Szampanja i szampan:
Wszystko pochłaniasz, gazeto, królowo krachów i hauss.
Na katarynce wydarzeń skaczesz z radości jak małpa
I sprośną łapą tłumowi parszywy podajesz los.

Swatko skandali, kuplerko człowieczych nieszczęść i klęski,
Matko niesławy, co naszym czasom nadajesz swój kształt:
Jak surmy Jerycha ochrypłe, rozbrzmiewa twój okrzyk zwycięski:
„Królestwo dam za morderstwo! Królewstwo oddam za gwałt!"

Już wrota niebios zbryzgała twa jadowita ślina,
Zebrana z języków świata jak wino z trujących czasz,
Dałoj Radosna Nowina! Niema już Ojca, ni Syna,
Oto „Nowiny Codzienne"*) napluły Duchowi w twarz.

Jak Noe, który z swą arką osiadł na górze Ararat,
Tak ja z mem sercem, o Panie, u Twoich ląduję nóg:
Ty, co nie jesteś sensacją, strzaskaj ten radjoaparat,
Którym depesze nadaje szatan, odwieczny Twój wróg!

Oto już straszny, niebieski reporter mię dopadł u Ciebie,
O wiekuisty Artysto, coś ziemię z miłości Swej wykuł:
Nie wpuść go tutaj! On filję redakcji otworzyć chce w niebie
I pragnie stworzenie świata przerobić na wstępny artykuł.

Nie daj, by szatan gazety zabrał na makulaturę
Dusz naszych czyste arkusze! A gdyby jednak się zakradł —
Krzyknij mu wówczas przez tubę taką sensację, od której
Świat się zawali! —
A potem skonfiskuj cały nasz nakład!

*) Gdy utwór ten był pisany, nie istniało jeszcze pismo tej nazwy (przyp. autora).

SEWERYN SOSNOWSKI

POJEDYNEK LERMONTOWA

P. A. Jefimow w siódmym tegorocznym numerze miesięcznika „Oktiabr“ podaje szereg małoznanych u nas szczegółów o śmiertelnym pojedynku Lermontowa. Fakty te Jefimow analizuje i omawia w sposób, który powinien zainteresować polskiego czytelnika.

Jak wiadomo, wejście Lermontowa w szeroki świat literatury bezpośrednio się łączy z tragiczną śmiercią Puszkina. Wiersz „Śmierć poety“ odrazu rozgosił nazwisko nieznanego „korneta gusarskiego pułku lejbgwardji“. Ale ten rozgłos miał odrazu także i inne konsekwencje. Osławiony oddział III-ci natychmiast założył kartotekę Lermontowa, pilnie śledząc odtąd każdy jego krok, każde słowo. Na Sylwestrowym balu maskowym w kasynie szlacheckiem na przełomie lat 1839 i 1840 poeta ostrą odpowiedzią obraził jedną z córek Mikołaja I-go, udając, że jej nie zna. Odtąd cała dworska kamaryla na czele z carską rodziną zapłonęła pragnieniem dania „nauczki“ „bezczelnemu chłystkowi“. Zabójca poety, Martynow, znał te nastroje „sfer najwyższych“ i wiedział, że za skutki swego czynu nie będzie ponosił odpowiedzialności. Mało tego, wiedział on także, że jego przeciwnik nie traktuje pojedynku poważnie. Sekundant poety, oficer gwardji konnej M. N. Gliebow, a także książę Wasilczikow, świadek znanego zabójcy, powtarzali mu przed pojedynkiem, że Lermontow „ręki nań nie podniesie“, t. j. przyjąwszy wyzwanie, strzelać w niego nie będzie.

Sam przebieg pojedynku w opisie Jefimowa po pewnych nieistotnych skrótach wygląda następująco:

Przeciwnicy zjechali się o 6 wieczorem. Lermontow i Gliebow przybyli ostatni. Poeta przez całą drogę był w dobrym humorze. Gliebow nie usłyszał od niego żadnych przedśmiertnych rozmów ani poleceń. Lermontow żałował tylko, że nie udało mu się otrzymać zwolnienia z wojska, gdzie niełatwo będzie mu urzeczywistnić zamierzoną pracę. „Opracowałem już plan dwóch powieści, mówił on do Gliebowa, jednej z czasów śmiertelnej walki dwóch wielkich narodów, z zawiązaniem w Petersburgu, rozwojem akcji w głębi Rosji i w Paryżu, a z rozwiązaniem w Wiedniu; drugiej zaś z życia kaukaskiego, z Tyflisem pod rządami Jermołowa, jego dyktatury i krwawej pacyfikacji Kaukazu, z wojną perską, z katastrofą w której zginął Gribojedow w Teheranie — i oto zmuszony jestem „siedzieć nad morzem i czekać pogody“, gdy nareszcie można będzie zacząć fundamenta tych powieści. Za dwa tygodnie trzeba będzie iść do pierwszej linji, na jesieni ruszymy w wyprawę, a z wyprawy kiedy wrócimy...?“

Przyjechano do stóp góry Maszuk, przywitano się ze świadkiem tamtego. Martynow stał ponury i zły. Gliebow zwrócił na to uwagę Lermontowa, który tylko wzruszył ramionami i pogardliwie się uśmiechnął.

Odmierzono dystans trzydziestu kroków, ostatnie granice postawiono na odległości 10 kroków. Przeciwników rozstawiono na skrajnych granicach, dozwalając im podchodzić na dziesięć kroków. Żaden z nich nie miał szczególnego prawa na pierwszy strzał, każdy mógł strzelać albo stojąc na miejscu, albo podszedłszy do wewnętrznej granicy, albo wreszcie w marszu, ale koniecznie między komendą „dwa“ i „trzy“. Lermontow stał na wyższym punkcie pochyłości, na której się odbywał pojedynek, Martynow na niższym.

Na komendę Martynow szybko poszedł na spotkanie, starannie mierząc w Lermontowa, który stał nieruchomo, podniósłszy pistolet do góry i zasłaniając się ręką i łokciem, jak nakazywało mu jego pojedynkowe doświadczenie. „W tej chwili, opowiada książę Wasilczikow, po raz ostatni spojrzałem na niego i nigdy nie zapomnę tego spokojnego, prawie wesołego wyrazu, który nosiła twarz poety przed lufą już wycelowanego w niego pistoletu“.

Gliebow tymczasem komenderował:

Raz! Dwa! Trzy!

Martynow doszedł już do ostatniej granicy. „Doskonale pamiętam, mówi Wasilczikow, jak Martynow obrócił pistolet kurkiem na prawo i na lewo, co nazywał on „francuskiem celowaniem“ i nadal uporczywie celował“.

Dawno minęła ostatnia komenda Gliebowa.

— Strzelajcie albo was rozłączę! — krzyknął on. Runął strzał, poeta padł, jak skoszony, nie zdążywszy nawet chwycić się za miejsce trafienia, jak to zwykle czynią ranni.

Podbiegli świadkowie. W prawym boku dymiła rana, z lewego sączyła się krew, kula przeszła na wylot, przebiwszy oba płuca.

Zwycięzca ze świadkiem czemprędzej pojechali do miasta. Gliebow rzucił na ciało poety swój płaszcz i popędził do komendy placu. Ciało od wpół do siódmej do jedenastej pozostawało w kałuży krwi i błota pod ulewą. Wreszcie na rozkaz policji sprowadzono je dorożką.

Obraz ten jest oparty na danych zaciekłego wroga Lermontowa „Don Kiszota jezuityzmu“, jak go poeta nazywał, t. j. księcia Wasilczikowa, który oczywista nie miał żadnych powodów, by fałszować rzeczywistość przedstawiając swego wroga rycerzem, zaś przyjaciela i powiernika — zabójcą.

Ten tragiczny epizod analizuje Jefimow z trzech punktów widzenia.

Po pierwsze, pod względem obowiązującego podówczas kodeksu pojedynkowego znajduje on cały szereg niewłaściwości, dziwnych przeoczeń i poprostu karygodnych przekroczeń. Przedewszystkiem więc nie było na miejscu pojedynku ani lekarza, ani powozu, któryby mógł przewieźć ciało rannego, chociaż bezwzględnie wymagał tego art. 28 rozdziału VI-go kodeksu pojedynkowego.

Zazwyczaj się tłumaczy brak doktora tem, że nie przewidywano krwawego finału, uważając, że pojedynek ten jest niepoważny. Jest to nieprawda, gdyż z korespondencji obu świadków z Martynowem po pojedynku wynika, że w razie chybionych pierwszych strzałów miano strzelać jeszcze po raz drugi i trzeci. Przechwałki Martynowa przed pojedynkiem o tem, że się krwawo rozprawi z poetą, jeszcze bardziej powinny były przestrzeć sekundantów i stąd lekkomyślne pogardzenie lekarzem nabiera cech bardzo podejrzanych.

Zadziwiający jest także wybór miejsca do pojedynku. Art. 1 rozdz. II-go kod. poj. wymagał bezwarunkowo miejsca **równego**, tu tymczasem wybrano pochyłość. Art. 4 rozdz. VI-go polecał losowanie miejsc, w danym wypadku zaś przeciwników rozstawili sami świadkowie bez żadnego losowania. Lermontowa postawiono wyżej, stwarzając mu w ten sposób trudniejsze warunki celowania, podczas gdy jego przeciwnik miał



Lermontow

swoje haniebne zadanie odpowiednio ułatwione.

Najbardziej jednak zadziwia sam dystans. Zazwyczaj miał on między wewnętrznemi granicami wynosić 25 kroków i tylko w wypadkach najcięższych (np. przy obrazie czynnej) dopuszczano dystans mniejszy — 15 kroków. Tu tymczasem, przy błahym pretekście pojedynku (jak wiadomo, żartobliwa uwaga Lermontowa o wojowniczych pozach, które przybierał Martynow, flirtując z córką domu, gdzie się zdarzyła ta scena) wyznaczono niebywały, bezprawny dystans **10 kroków**.

Wreszcie (co najważniejsze) haniebnie złamano art. 18 rozdz. VI-go k. p., który przewidywał ściśle określony moment wystrzału. W danym wypadku moment ten przypadał między komendą „dwa“ i „trzy“. Po „trzy“ Martynow tracił już prawo strzału i przeciwników należało natychmiast rozłączyć. Tymczasem jednak już po komendzie „trzy!“ Martynow celował jeszcze tak długo, że wściekły Gliebow krzyknął: „Strzelajcie, albo was rozłączę!“ Ten właśnie moment surowo ochraniał art. 7 rozdz. VII-go k. p. przewidujący ze strony sekundantów i przeciwnika bezlitosną rozprawę (aż do zastrzelenia włącznie) nad tym, kto złamał artykuł poprzedni.

Przypomnijmy jeszcze, że Lermontow od początku pojedynku stał nieruchomy, z pistoletem dogóry, okazując swoją niezłomną wolę niestrzelania. Kimże jest więc Martynow, przekonany w ten sposób o całkowitem swojem bezpieczeństwie, celujący długo i uporczywie w bezbronnego w gruncie rzeczy człowieka, jeśli nie świadomym, niegodnym mordercą.

Jeśli chodzi o kryminalną karalność tego czynu wg. obowiązujących podówczas przepisów prawnych o pojedynku to i tu zastanawiająca jest rozbieżność między ustawową karą i tem, co czekało zabójcę i świadków.

Art. 1503 k. k. przewidywał za pojedynek z wynikiem śmiertelnym karę twierdzy od 4 do 6 lat i 8 miesięcy.

Tenże artykuł, w wypadku, gdy w warunkach pojedynku założono śmierć jednego z przeciwników, co właśnie miało tu miejsce (świadczy o tem potajemna korespondencja świadków z Martynowem, gdy wszyscy oni przebywali w areszcie), jeśli ten warunek postawił zabójca — przewiduje pozbawienie go praw i zesłanie na Sybir, w stosunku zaś do sekundantów — 2 do 4 lat twierdzy.

Wreszcie aktualnym tu także był art. 1510 k. k. głoszący, że ten, kto na pojedynku zabije lub zrani przeciwnika w jakikolwiek zdradziecki sposób, ma być skazany na najwyższy wymiar kary z art. 1454 k. k. za zabójstwo z premedytacją (dożywotnia katorga).

Taka musiałaby być prawna kara, czekająca sprawcę i winowajców tego haniebnego czynu. W rzeczywistości, jak wiadomo, po komedji sądu wojskowego, car 3 stycznia 1842 r. zatwierdził wyrok w formie następującej: „Majora Martynowa skazać na 3 miesiące twierdzy i pokutę cerkiewną, radcę zaś tytularnego księcia Wasilczikowa i korneta Gliebowa uniewinnić, pierwszego za zasługi ojca, drugiego zaś przez wzgląd na otrzymaną przezeń w bitwie ciężką ranę“.

Akt ten jest bardzo wymowny. Uprawdopodabnia on apokryficzne słowa „koronowanego kaprala“ Mikołaja I-go, który na wieść o śmierci poety miał z ulgą powiedzieć: „Psu — psia śmierć“.

Jeszcze jest trzecia strona tragedji pod Piatigorskiem. Zazwyczaj się sądziło, że poeta poniósł śmierć na miejscu. Była jednak inna wersja „ludowa“, głosząca, że zmarł on dopiero, gdy w cztery godziny później zabrano go do miasta i tu wożono od komendy placu (gdzie miał złożyć zeznania) do aresztu garnizonowego (gdzie go miano zamknąć, jako oficera, który popełnił czyn bezprawny), z aresztu, niewiadomo dlaczego — do cerkwi i stamtąd nareszcie do domu.

Dopiero w pół wieku później znalazły się materjały, które potwierdziły tę właśnie „ludową“ wersję. Z t. zw. „papierów martynowskich“ wynika m. in., że sługa poety, Krzysztof Sanikadze, który brał udział w przewiezieniu go z miejsca pojedynku do domu, stwierdził stanowczo, że poeta żył, gdy go złożono na wozie, po drodze jęczał i szepnął „umieram“. W pół drogi jednak przestał jęczeć i zmarł. Świadectwo to, w połączeniu z zeznaniami świadków i zabójcy o tem, że, wbrew opinji lekarza, który przeprowadzał sekcję, poeta żył jeszcze, gdy go opuszczano, świadczy o prawdopodobieństwie owej wersji „ludowej“.

Obraz, który wynika z powyższego nie ma sobie równych w historji literatury. Śmiertelnie ranny genjalny poeta, porzucony przez wszystkich leży na stoku podgórskim, smagany ulewną burzą, której nadejście spłoszyło świadków i mordercę. Ziemia pod nim zamieniła się w błoto, płaszcz rzucony na twarz przemókł i stężał, bezsilny poeta dusi się pod nim, nie mogąc go odrzucić, by odświeżyć wiatrem i deszczem płonące usta i pierś. Życie spływało z każdą kroplą niezatamowanej krwi. Trwała ta agonja przez cztery i pół godziny.

Analiza Jefimowa jest naogół przekonywająca. Oczywista, przydałyby się bardziej konkretne fakty, dotyczące zwłaszcza owej sceny na balu maskowym i wogóle roli, którą odegrała w śmierci Lermontowa dworska kamaryla.

Inna sprawa niewyjaśniona to rola w pojedynku obu sekundantów, a przedewszystkiem podobnoć przyjaznego poecie M. N. Gliebowa. Pozostaje niejasne ile we wszystkich haniebnych wypadkach naruszenia przepisów i ususów pojedynkowych było ułatwiania Martynowowi zabójstwa, ile zaś karygodnego niedbalstwa i lekkomyślności.

Te jednak sprawy mogłyby conajwyżej spotęgować jeszcze bardziej ponurość tragedji piatigorskiej, obraz zaś który niezbicie przedstawił Jefimow jest i tak wystarczająco okropny. Defraudant nie staje się bardziej wstrętny dlatego, że sprzeniewierzył miljon sto tysięcy czy tylko miljon. A dowiedziony i niedowiedziony stopień winy bezpośrednich i pośrednich sprawców pozostają do siebie właśnie w podobnym stosunku.

Kończę słowami ks. P. Wiaziemskiego, których użył Jefimow za motto swego artykułu: „Tak, w naszą poezję strzelają trafniej niż w Ludwika Filipa: oto już po raz drugi nie chybiono“.

JUBILEUSZ „SYGNAŁÓW“

„Krakowski Kurjer Wieczorny“ w nr. 226 z dnia 21 sierpnia b. r. z okazji wydania 50 numeru „Sygnałów“ pisze:

W bieżącym miesiącu lwowski dwutygodnik społeczno-artystyczny „Sygnały“ wydały jubileuszowy numer — 50, obchodząc zarazem pięciolecie swego istnienia. Warto przy tej okazji podkreślić walor dorobku tego jednego z najdłużej istniejących perjodyków demokratycznych spośród tych, które się obecnie ukazują. „Sygnały“ przebyły niewątpliwie wielką drogę naprzód. W pierwszym okresie swego istnienia raziły niejednokrotnie prymitywizmem społecznego podejścia do sztuki, apodyktywizmem rzucanych tu i ówdzie tez, a równocześnie mimo to grzeszyły często brakiem zdecydowanej linji redakcyjnej, zdecydowanego kierunku zarówno w sensie ideowym jak i artystycznym. Ale to nie jest zarzut, któryby się specjalnie stawiało „Sygnałom“. Odnosi się on w równej mierze prawie do wszystkich początkujących pism, w szczególności zaś tych, które wyrażają analityczno-przetwórczy stosunek do rzeczywistości. Systematyczna jednak i niestrudzona praca zespołu redakcyjnego „Sygnałów“, ich często zapewne bardzo ciężkie wysiłki podnosiły powoli a skutecznie poziom publicystyczny pisma i rozszerzały coraz bardziej, coraz widoczniej zakres zagadnień, spraw i zainteresowań oraz zakres współpracowników. Dzisiaj „Sygnały“ stały się trybuną wielkiego koła młodych publicystów-polityków, literatów, krytyków, stały się ośrodkiem myśli i twórczości najlepszych sił młodego obozu demokratycznego. Możnaby „Sygnałom“ postawić zarzut, że robią niekiedy wrażenie eklektycznych, możnaby neikiedy zarzucić im brak planu redakcyjnego w grupowaniu zagadnień i tematów. Ale zarazem może właśnie to stanowi ich największą zaletę i największą siłę atrakcyjną: jest w nich bowiem miejsce dla każdego postępowo myślącego człowieka i dla każdej sprawy. A wielka ilość nazwisk, przemawiających ze szpalt „Sygnałów“ świadczy, że istotnie stały się one skupiskiem młodej myśli postępowej.

Dziś „Sygnały“ nie są już jednym z wielu dwutygodników literacko-społecznych, których tak zawsze wiele mamy w Polsce, dziś mają już swą „klasę“, swój określony styl. Ludzie piszący tam to są ci, którzy umieją organizować myśl i panować nad piórem, to są w większości nazwiska znane w świecie publicystycznym i literackim całej Polski.

I to właśnie jest charakterystyczne: lwowski, a więc prowincjonalny perjodyk potrafił stać się ośrodkiem myśli z terenu całego kraju, potrafił przyciągnąć pióra ze wszystkich krańców, jak też i z samej stolicy. Jest to najlepszym dowodem, że środowisko prowincjonalne może być zdolne do stworzenia ośrodka pracy o charakterze ogólnopolskim, jeżeli tylko tę pracę odpowiednio poprowadzi.

Toteż szczere uznanie należy się zespołowi „Sygnałów“, który w dzisiejszych czasach szczególnie trudnych pod względem wydawniczym tak wytrwale i uczciwie służy ideałom demokracji.

Z łam naszego pisma ślemy „Sygnałom“ gorące pozdrowienia i życzymy dalszych coraz piękniejszych jubileuszów!

*

W poprzednim (54) numerze „Sygnałów“ z dnia 1 października: **Stefan Frank:** Z zagadnień rewolucji niemieckiej. — **Upton Sinclair:** Jakie zmiany przeżyłem. — Jubileusz „Sygnałów“. — **Stefanja Rajfówna:** I zaśpiewał pieśń wolności. — **Marjan Promiński:** Powieść społeczna. — **Zygmunt Jarosz:** Oś Madryt—Hankou. — **Jerzy Kamil Weintraub:** Młodzi poeci śląscy. — **Józef Lubojański:** Rola Stronnictwa Pracy. — **Józef Ciągliński:** Człowiek istota nieznana. — **Tadeusz Hollender:** Amerykański Sienkiewicz. — U nas... — **Marja Balsigerowa:** Wyniki konferencji w Evian. — **Michał Szulkin:** Nauczycielstwo za demokracją. — **Tadeusz Hollender:** List satyryka do jednego z dyktatorów. — Korespondencja (**Józef Ciągliński, Franciszek Drela, Jan Sinogóra, J. K. Weintraub**). — W oczach Zachodu. — 8 stron.

JERZY WYSZOMIRSKI

ŻÓŁW I ACHILLES

1

W jednym z numerów „Berliner Illustrirte Zeitung“ widziało się cykl obrazków, zatytułowany „Ein Aquarium des Lebenskampfes“. Przedstawione tam było, jak w wielkiem, napozór spokojnem i cichem, akwarjum odbywa się walka o życie; jak życiem tem rządzi surowe, bezwzględne i niewzruszone prawo, któremu każdy, kto słabszy, poddać się musi, albowiem siła włada światem, pięść mocniejszego będzie zawsze zwycięska i zawsze rozbrzmiewać będzie okrzyk: vae victis! Oto potwornej wielkości żółw pożera małą rybkę. Podpis głosi: „Potężny żółw schwytał maleńką rybkę i zjada ją ze smakiem“. Cóż poradzić? Podpis filozofuje dalej: „Takie jest życie — i akwarjum bywa polem walki“. Niema przeto wyjścia: lepiej być potężnym żółwiem, niż maleńką rybką. Zdala od żółwia roją się inne małe rybki; czekają cierpliwie na odpadki, jakie pozostaną z uczty żółwia, na resztki swej biednej towarzyszki; nasycony żółw wspaniałomyślnie pozwoli się im resztkami pożywić; ale gdy znowu poczuje głód, zeżre inne maleńkie rybki. „So ist das Leben!“ — tłumaczy sentencjonalnie podpis pod obrazkiem. Dobrze być potężnym żółwiem, biada małym rybkom.

Czy obrazki nie są symboliczne? W akwarjum europejskiem, które pragnie zachować spokój, gospodaruje potężny żółw — Niemcy. Mają one twardy pancerz i coraz usilniej pracują nad jego umocnieniem; w każdej chwili, jak żółw, będą umiały ukryć w nim głowę i zabezpieczyć się przed atakiem wroga; w każdej chwili, jak żółw, wysuną głowę, by chwycić małą rybkę. Czynią to wszystko, jak żółw, langsam aber deutlich, krok za krokiem, nieustępliwie a stanowczo. Zjadły już zagłębie Saary, zjadły Austrję, zjadają Sudety... Innym mniejszym rybkom zostawiają tymczasem cząstki ze swej uczty. Dobrże być potężnym żółwiem. So ist das Leben.

2

Należy sądzić, że Drieu la Rochelle niezbyt jest w Polsce znany. Zdaje się, że oprócz „Discours aux Allemands“, którego przekład ukazał się jakieś sześć—siedem lat temu na łamach wychodzącego wówczas „Pamiętnika Warszawskiego“, nic z jego rzeczy na polskie nie tłumaczono. Są wśród nich powieści, sztuki teatralne oraz różne studja i szkice — polityczne i historjozoficzne. W tych szkicach oświadcza się Drieu la Rochelle jako pacyfista i paneuropejczyk. Myśli jego wydają się dziś nieprawdopodobnym anachronizmem, a przecie zaledwie siedem lat (siedem chudych lat europejskich) upłynęło, gdy je z najgłębszem przekonaniem w pięknym zbiorze p. t. „Europa przeciw ojczyznom“*) wypowiedział — Drieu la Rochelle, żołnierz wielkiej wojny europejskiej, który, według swych własnych słów był w owych czasach wielbicielem Hölderlina i Nietzschego, i któremu pod Charleroi pierwsza kula, co go zraniła, przebiła również tornister, a w nim „Tako rzecze Zaratustra“. Być może dlatego swoją „Europę przeciw ojczyznom“ zakończył „dialogiem dwóch Europejczyków“, z których jednym jest on sam — wyznawca idei pokoju, drugim ten, co reprezentuje wojujący nacjonalizm. Paneuropejczyk powiada: „Zakładam się o moje życie, że Europa może istnieć jeszcze, to znaczy rozwijać się przez pokój. Dlatego oznajmiam, że gotów jestem umrzeć dla idei pokoju. Nie odpowiem na żadną mobilizację, ani na tę, którą ogłoszą ojczyzny europejskie, ani na tę, do której zawezwą partje („ni à celle des patries ni à celle des partis“). Pozwolę się zastrzelić każdemu żandarmowi — obojętne, czy to będzie żandarm Hindenburga, Tardieu czy Stalina“. Na to drugi Europejczyk: „Zginiesz zapomniany w kącie, nie służąc niczemu“. — „Niema tak drobnego czynu — zamyka Drieu la Rochelle dialog — któryby nie zakiełkował w swoim czasie“.

Niewiadomo, czy Drieu la Rochelle przeciwstawił się teraz powszechnej opinji francuskiej, która umyła ręce w sprawie Czechosłowacji; czy w dalszym ciągu trwa na tem stanowisku, które określił w swej „Europie“, że wiek XX będzie wiekiem Słowian, jak XIX był wiekiem Germanów; że „stare ojczyzny europejskie“ — Anglja, Italja i Niemcy**) — winny ustąpić „młodym ojczyznom“ słowiańskim. Mniejsza z tem. Ważniejszy jest fakt, że wszelkie poglądy zostają daleko wtyle wobec niewstrzymanego biegu rzeczywistości i — co jeszcze ważniejsze — wszelkie t. zw. przewidywania, wszelkie rokowania przyszłości bywają zawodne: Drieu la Rochelle bowiem, w ostatecznej konkluzji doszedł do tego pewnika, że Europa już rychle upora się w zupełności ze swemi ojczyznami, które ją rozrywają, zakłócają jej spokój i hamują ogólno-ludzki postęp.

3

Konkluzja Drieu la Rochelle'a wywołuje niespodziewane przypomnienie innego esseisty sprzed pięćdziesięciu laty — rozgłośnego w swoim czasie Maxa Nordau, również w pewnym sensie paneuropejczyka. Pół wieku temu wydawał on swe „Paradoksy“, tłumaczone na wiele języków, rozchwytywane przez inteligencję całej Europy (w samych Niemczech książki Nordau miewały po osiemnaście wydań), rozchwytywane jak wszystko, co napisał ów Bertrand Russell, Aldous Huxley i Drieu la Rochelle w jednej osobie — swej epoki, niezrównany filozof socjalny i moralista, którego „idee elektryzowały cały świat kulturalny“. W „Paradoksach“ znajdujemy dwa szkice, godne melancholijnych rozmyślań: jeden — „Narodowość“, drugi — „Spojrzenie w przyszłość“. Pół wieku temu były to czasy rozkwitającej potęgi młodego cesarstwa niemieckiego; czasy niejakiej dekadencji młodej republiki francuskiej, szarpanej walkami wewnętrznemi stronnictw; czasy wreszcie, kiedy imperjum Cara-Mirotworca osiągało szczyty potęgi, jak dziś imperjum Mussoliniego, czy Hitlera. I Max Nordau, obserwując swoją rzeczywistość, dowodził i przewidywał, że zbliża się epoka, kiedy zagadnienia narodowe i narodowościowe rozwiązane zostaną w sposób radykalny i ostateczny. Świadkami tego rozwiązania będą najbliższe pokolenia, to znaczy my — ludzie pierwszej połowy w. XX. Małe i słabe narody zaginą, pozbawione swego języka i samoistności, na podobieństwo Wendów w Meklenburgji albo Celtów w Bretanji. Plemiona pokrewne będą się łączyły wzajemnie, tworząc wielkie narody, jak to uczyniły właśnie Niemcy, zespalając się w jedną Rzeszę. Analogiczny proces nastąpi wkrótce wśród Słowian, którzy zjednoczą się pod przewodnictwem Rosji. Minie jeszcze jedno pokolenie, i w Europie pozostanie zaledwie pięć, może cztery, wielkich narodów: niemiecki, słowiański, skandynawski, romański, przez który rozumieć zapewne należało Francję, Hiszpanję, Portugalję i Italję w zjednoczeniu. Te narody — niby „wielkie ojczyzny“, jakby powiedział Drieu la Rochelle — będą się nawzajem szanowały, widząc w sobie równorzędne elementy, niezmienne i przez naturę samą niejako stworzone żywioły równowagi i porządku: Słowianin tak samo nie będzie myślał o wtargnięciu na ziemię Germanów, a Germanin na ziemię Romanów, jak ptak nie myśli o życiu pod wodą, albo ryba w powietrzu. Każdy naród będzie pracował nad udoskonaleniem warunków życia, usuwając w twórczym wysiłku te przeszkody, które na swej drodze napotyka wolny i wszechstronny rozwój osobowości ludzkiej oraz wciąż doskonalący się postęp.

A cóż będzie dalej? Dalej? — zapytuje Nordau: — nie wiem, co będzie dalej. Ciemna przyszłość staje się jeszcze ciemniejsza, i trzeba kończyć bajkę. W ironicznym akcencie, jakim zamyka Nordau swe „Paradoksy“, objawia się jego wyższość nad powagą przepowiedni Drieu la Rochelle'a. Kto z nich ma słuszność? Słuszność, niestety, ma żółw, który powolnością i wytrwałością prześcignąć potrafi, jak wiadomo, nawet najbardziej rączego Achillesa, najbardziej dalekolotne przewidywania.

*) „L'Europe contre les patries“. Les essais. Paris 1931.

**) Ah! — zwraca się poetycko do Niemców: — peuple des grandes fables, peuple dont les philosophes et les poètes ont chanté si puissamment le secret de la nature, la puissance des métamorphoses, connais ta nouvelle métamorphose! Tu es plus loin de l'hégémonie aujourd'hui qu'hier...

ADOLF SOWIŃSKI

STEFAN GEORGE

W swojej klasycznej już dziś, choć wydanej zaledwie w r. 1920, książce o Stefanie George*) mówi Fryderyk Gundolf, że wprawdzie żadne jestestwo kulturalne nie rodzi się z takich stosunków jak sprzeciw lub afirmacja, ale może się ono w ten sposób ujawnić, każda bowiem pełna osobowość zastaje pewne posłannictwo lub dziedzictwo jako jedną z dwóch konieczności, które musi podjąć.

Te słowa Gundolfa skłaniają nas do zastanowienia się, która z owych dwóch konieczności stanęła przed Stefanem George, gdy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia rozpoczynał działalność poetycką. Pokolenie, przechodzące podówczas w cień starości, niewiele miało do przekazania poza osiągnęciami wielkiej polityki Bismarcka i poza olbrzymim rozwojem techniki. Te obydwa czynniki zniżyły ówczesną cywilizację niemiecką do form codziennego pogromu kultury, jeżeli za tę ostatnią uznamy wszystkie przejawy twórczości duchowej bezinteresownie zdążającej do uszlachetnienia życia ludzkiego. Niosące za sobą korzyści gospodarcze zwycięstwo nad Francją, wywołało nieuczciwy ruch spekulacyjny, znany pod eufemistyczną nazwą „Gründerzeit“, pociągający za sobą wiele większych i mniejszych kryzysów ekonomicznych, pod których znakiem żyła epoka. Powszechny pęd do wzbogacenia się nie wykazał nigdy chyba tyle żywiołowej bezwzględności, co tamte czasy, gdy porastająca właśnie w pióra technika po raz pierwszy nastręczyła możność zdobycia majątku i stanowiska społecznego drogą samego egoizmu i sprytu bez innych przymiotów osobistych. Jest to epoka przemocy jako ideału, nawet bowiem ówczesna idea dobra przybrała w marxizmie tę samą postać. Kulturę znamionuje rozwój nauk ścisłych. Z katedry uniwersytetu jenajskiego głosi popularną filozofję darwinizmu Ernest Haeckel, a fizjolog berliński, Emil Du Bois Reymond, wypowiada słynne zdanie: „ignoramus et ignorabimus“, które można uznać za formułę obojętności całej epoki wobec zagadnień metafizycznych. W literaturze po epigonizmie szkoły monachijskiej doszedł do głosu naturalizm, wiążący się genetycznie z impresjonizmem malarstwa francuskiego i twórczością Emila Zoli. Kierunek ten, jak zresztą każdy realizm, nie mógł dać nic więcej ponad utwory jednodniowe, tracące ważność wraz ze zmianą problematyki życiowej.

Bankructwo kulturalne epoki, wobec której znalazł się młody George, zostało przypieczętowane przez Nietzschego, stojącego nad nią niby posągowy gest zaprzeczenia. Ten gest zdaje się zresztą wyczerpywać rolę autora „Zarathustry“ jako proroka. Całą jego siłą jest namiętna walka z istniejącym stanem rzeczy i wiary, pomimo bowiem wyznawania wywodzącej się ze starożytności zasady, że filozofja nie powinna być li tylko twórczością intelektualną, lecz ma kształtować życie, dostatecznie pozytywnej wizji człowieczeństwa nie dał Nietzsche nawet w tym ostatnim okresie swej działalności, gdy stworzył nader wieloznaczny symbol nadczłowieka. Poruszył natomiast to, coby można nazwać sumieniem kulturalnem społeczeństwa, zbudził czujność na sprawy kultury.

Po tak utorowanej drodze Stefan George nie wszedł tryumfalnie do literatury niemieckiej przedewszystkiem dlatego, że sam tego nie chciał. Mając na uwadze zarysowane powyżej tło trudno się dziwić, że George uznał swoją sztukę za zerwanie ze społeczeństwem. Spośród dwóch konieczności, które stają przed każdą pełną osobowością kulturalną, nie istniało dlań dziedzictwo, czekające na rękę nadającą ostateczny kształt, było bowiem zbyt marne i ziemskie. Wiek dziewiętnasty — głosił George — wraz z całym swym przemysłem i pośpiechem komunikacyjnym, wraz z naukowym i politycznym szałem organizacji zasługuje na wieczne potępienie, ponieważ wypędził twórczego ducha. Nawet zewnętrznie tedy odstrychnął się poeta od współczesności: żył w odosobnieniu, przybrał odmienny ubiór, pisał na pergaminie piórem gęsiem lub trzcinowem, książki swoje — do trzydziestego roku życia wydawane jako druki prywatne — drukował na kosztownym papierze czcionką naśladującą jego rękopis, zarchaizował częściowo ortografję, stworzył własny system interpunkcyjny. Atoli nic tak ostatecznie i tak bezpowrotnie nie odcięło go od epoki jak jego własna poezja, realizacja jego posłannictwa, przeciwstawienie skupionego i heroicznego piękna kupieckiemu i huzarskiemu duchowi tamtych czasów. Tak powstał świat obok świata, a raczej świat wbrew światu.

W cytowanem już na początku dziele mówi Gundolf, że słowo jest najgłębszym bastjonem ducha w świecie rzeczy, że jest ono ostatecznem schroniskiem Boga w człowieku, gdy przestaje dlań istnieć i uduchowiony kościół i jakaś publiczna magja i wszelka wogóle tajemnica. Słowo i poezja są podstawą, dzięki której jednostka nie rozporządzająca żadnym z rodzajów zewnętrznej przemocy może wyłącznie za pomocą pierwotnej siły własnej duszy świat ruszyć z posad.

Te patetyczne słowa, posługujące się swobodnie terminami metafizycznemi, które w żadnym chyba języku nie zostały tak jak w polskim zbanalizowane i wyjałowione z nastroju, przywodzą nas nad brzeg wielkiego kraju poetyckiego, który Stefan George stworzył w ciągu sześćdziesięciu pięciu lat swego życia, działając literacko od dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia aż po rok 1933. Jego świat poetycki istnieje poza obrębem historji, chociaż posługuje się jej elementami, mamy tu bowiem do czynienia jakby z odwrotnością tego aktu twórczego, o którym mówi księga „Genesis“: krajobrazy, morza, konstelacje podnoszą się na wysokość mitycznej wzniosłości niby doskonałe kopje niedoskonałych oryginałów ziemskich, a przesuwające się po tym raju bez szczęścia postacie są półbogami uczynionymi na obraz i podobieństwo człowieka. Jako poeta przeżywa tedy George tylko to, co jest niezwykłe życiowo, i stąd pochodzi kapłański ton jego poezji, nie mającej jednak nic wspólnego z właściwą religijnością, bo sprowadzającej się do kultu każdego rytuału, jeśli tylko jest on piękny i uprzystępnia poecie przeczuwanie spraw metakosmosu. Każde przeżycie wypowiada się u Georgego w formie obrzędowej wzniosłości, doznaje tylu artystycznych przekształceń, że zaciemnia raczej czytelnikowi wiedzę o niem niż uprzystępnia. Nie jest to ani manierą ani kłamstwem, jest koniecznością artystyczną. Już Wagner powiedział, że artysta nigdy nie kłamie, ponieważ tego co głosi nie podaje za obowiązującą prawdę jak czyni kapłan. Wątpić coprawda należy, czy takiem postawieniem sprawy George nie poczułby się dotknięty, należy on bowiem do rzędu tych nielicznych poetów, u których wielkość dzieła poetyckiego wynika z nieustającej wielkości codziennego życia, jednakże zasadniczemu postulatowi krytyki, wymagającemu niemieszania rzeczywistości realnej z kulturalną, musi stać się zadość.

Ocienione sakralnością słowa, w jakich George wypowiada swe wzruszenia i cierpienia, czynią przeżycia poety bezosobistemi, obcemi niemal dla samego twórcy, sprawiają wrażenie pozbawionego zupełnie egzotyzmu zachwytu nad samym sobą, przez co zaciera się bolesność każdego przeżycia. Na tem ostatecznie polega katartyczna rola poezji w życiu poety.

*) Friedrich Gundolf: George. Berlin, Georg Bondi.

O »Ziemi obiecanej« Reymonta

„Ziemia obiecana“ Reymonta, ta prawdziwie „nie-boska komedja“ polskiego kapitalizmu, jest dziś niesłusznie zapomnianem dziełem, które możnaby śmiało postawić obok „Czarnych skrzydeł“ Kadena.

Podobnie jak autor „Lenory“ Reymont — z pasją prawdziwego artysty — przedstawił w swym utworze ośrodek wielkiego przemysłu z charakterystycznym dlań egoizmem, gorączką pracy i kultem złota. Młody, zaledwie początkujący, ale już głośny wówczas autor „Pielgrzymki“, „Komedjantki“ i „Fermentów“ w gorączkowem tętnie i żywiołowej bujności życia łódzkiego dojrzał i pochwycił najaktualniejszy, najbardziej istotny problem swojej epoki: problem tryumfującego kapitalizmu. I jeszcze przed „Ludźmi bezdomnymi“ odważył się zajrzeć w twarz „kapitalistycznemu Molochowi“, oskarżyć go surowo i bezwzględnie.

Z niezwykłą plastyką ukazał Reymont w „Ziemi obiecanej“, jak w tyglu bezideowości i zmaterjalizowania, w wiecznej pogoni za złotem i zwierzęcej walce o byt rodzi się nowa psychika ludzka, psychika t. zw. lodzermenszów, uznająca jedynie siłę pięści i pazurów, nie cofająca się, jeśli tego wymaga interes, przed żadnem matactwem czy oszustwem.

„Łódź to las, to puszcza — twierdzi Reymont — masz mocne pazury, to idź śmiało i bewzględnie duś bliźnich, bo inaczej oni cię zduszą, wyssają i wyplują z siebie“. Tym zasadom pozostają wierni w łódzkiej puszczy wszyscy: i jej „imperatorzy“ — wielcy fabrykanci Bucholc, Miller czy Mendelson — i pomniejsze kanalje, jak Wilczek i Welt, a nawet główny bohater powieści, Borowiecki, postać (mimo iluzji autora) również nawskroś ujemna.

Najbardziej sugestywnem, niemal symbolicznem wcieleniem łódzkiego świata i jego etyki jest w powieści Reymonta postać starego Halperna. Tworzy on sobie swoistą filozofję egoizmu i kapitalistycznej konkurencji, w których upatruje naturalny porządek świata i życia ludzkiego. „Płotkę zjada duży kiełbik — tłumaczy Halpern — kiełbika zjada okoń, a okonia zjada szczupak, a szczupaka? Szczupaka zjada człowiek! A człowieka zjadają drudzy ludzie, jedzą go bankructwa, jedzą choroby, jedzą zmartwienia, aż go wkońcu zjada śmierć. To wszystko jest w porządku i jest bardzo ładnie na świecie, bo z tego robi się ruch“.

Ten „ruch“ właśnie najbardziej pociągał poetycką wyobraźnię autora „Chłopów“.

„Uwielbiam masy ludzkie — pisał Reymont w czasie tworzenia „Ziemi obiecanej“ — kocham żywioły, przepadam za wszystkiem, co się staje dopiero — a wszystko to mam w tej Łodzi, więc się nie dziwcie, że trawi mnie gorączka pochwycenia tętna tego niesłychanie bujnego życia“.

Dlatego też wystąpienie Reymonta przeciw kapitalizmowi ne posiada charakteru pozytywnego. Reymont umiał dostrzec i opisać zło współczesnego mu kapitalizmu, nie odczuwał jednak bolesnej troski o jego naprawienie, która nas tak wzrusza w „Ludziach bezdomnych“ Żeromskiego.

Pozostaje to w ścisłym związku z ówczesnemi sympatjami społecznemi Reymonta.

Od samego bowiem początku swej działalności literackiej utrzymywał Reymont bliskie stosunki towarzyskie i ideowe z grupą „Głosu“, warszawskiego pisma ówczesnych radykalnych ludowców, zalążni dzisiejszej narodowej demokracji.

Publicyści „Głosu“ (spoczątku pisali tu nawet Heryng, Nałkowski i Krzywicki) należeli do tej części inteligencji ówczesnej, która usiłowała pogodzić uczucia narodowe z sympatjami dla świata pracy i do odrodzenia kraju dążyła w oparciu o lud wiejski. Obok socjalistów-marxistów odegrali oni wówczas decydującą rolę w walce ideowej nowego pokolenia z hasłami pozytywizmu, z hasłem solidaryzmu społecznego przedewszystkiem. Dziedzicząc bezpośrednio niepodległościowe i demokratyczne idee Wielkiej Emigracji i pozostając zarazem pod wpływem rosyjskiego „narodniczestwa“ — grupa „Głosu“ wysunęła odrazu na czoło wszystkich spraw zagadnienie ludu, przez co rozumiała głównie lud wiejski.

Lud to „najgłówniejszy składnik społeczności narodowej“ — czytamy w prospekcie „Głosu“; to żywiołowa siła plemienna o odrębnej kulturze i cywilizacji, radykalnie przeciwstawiana przez „Głos“ reszcie społeczeństwa, głównie warstwie szlacheckiej, która „pływa (po powierzchni narodu) jak pozłota na rosole“.

W imię tej kulturalnej i społecznej odrębności ludu (pojmowanego jako jednolita masa) grupa „Głosu“ atakowała kapitalizm i zapowiadała walkę o „wyzwolenie pracy“. Równocześnie jednak zwalczała t. zw. żywioły obce t. j. Niemców i Żydów. „Różnica, jaka istnieje między panem a chłopem, między kapitalistą a najemnikiem, niczem jest wobec różnicy rasowej...“ — czytamy w „Głosie“. To rasowe i plemienne potraktowanie ludu obok „rasowego antysemityzmu“ stało się później pomostem między radykalizmem „Głosu“ a ideologją narodową, która miała wkrótce całkowicie opanować redakcję tego pisma.

Ideologja „Głosu“, zwłaszcza zaś jej chłopskie tendencje, znalazły podatny grunt w psychice Reymonta. Toteż mimo jego podziwu i uwielbienia dla bujności życia wielkomiejskiego i zaklętej w tym życiu energji i siły, powstaje w nim przekonanie, że jest to siła zła i niszcząca. Maszyna nie jest dlań pozytywnem narzędziem postępu, ale „jakimś gadem potwornym“; miasto — polipem, który mirażem pieniądza i pracy hypnotyzuje tłumy i ściąga je bezlitośnie zewsząd ku sobie. „Dla tego polipa pustoszały wsie, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swoich skarbów, rodzili się ludzie, on wszystko ssał w siebie i w swoich potężnych szczękach miażdżył i przeżuwał — i dawał wzamian nielicznej garstce miljony bezużyteczne, a całej rzeszy głód i wysiłek“.

Reymont unifikuje na swój sposób ludzi miasta. Kapitaliści są dlań niewolnikami własnych fabryk i własnych miljonów, które pobudzają ich do nieustannej pracy, ale nie dają zadowolenia ani szczęścia (jak to było z Borowieckim); robotnicy zaś są niewolnikami maszyn i ich automatycznymi „dopełniaczami“, a gdy pragną się wyzwolić, uciec z potwornego miasta (jak to próbuje uczynić robotnik z noweli „Pewnego dnia“), jakaś fatalna niezrozumiała siła każe im tu powrócić i zostać. Tak miasto-polip powoli wysysa z ludzi ich żywotną energję i jak Moloch, nigdy niesyte, pożera swe ofiary.

Tej złej i jakgdyby mistycznej potędze miasta przeciwstawia Reymont życie wiejskie. Dla wielu postaci „Ziemi obiecanej“ — od owej komornicy, której mąż zginął w trybach maszyny, aż do byłego ziemianina Sierpińskiego, który wychodzi za miasto „zobaczyć, jak tam tego i owego oziminki wyszły spod śniegu“ — wieś jest rajem utraconym, światem wewnętrznej harmonji i szczęścia, niezależnym nawet od materjalnych warunków. „Komornik na wsi to większy pan na codzień niźli człowiek fabryczny w niedzielę“ — powiada jakiś entuzjasta wsi w noweli „Pewnego dnia“. I Reymont niewątpliwie solidaryzuje się z tą opinją, gdyż wieś i życie wiejskie są dla niego uosobieniem dobrych i twórczych elementów ludzkiego istnienia.

Analiza społeczeństwa, którą Reymont w sugestywnej formie artystycznej dał w swojej „Ziemi obiecanej“, nosi tedy wyraźne piętno jego poglądów i sympatyj społecznych. Już pierwsi recenzenci powieści zauważyli, że autor nie ujawnił w niej zadrażnionych wówczas stosunków między kapitałem a proletarjatem (por. t. zw. bunt łódzki w r. 1892). Łatwo też dostrzec, że proletarjatu w tej powieści (prócz kilku obrazów zbiorowej pracy przy maszynach) wogóle niema. Uwaga pisarza skupiona została prawie wyłącznie na przedstawicielach świata przemysłowego, na życiu wielkofabrycznego miasta i jego zasadniczym elemencie — maszynie. Jak i publicyści „Głosu“, Reymont nie zdaje sobie należycie sprawy z właściwego charakteru kapitalizmu i wszystko, co mu ma do zarzucenia, łączy z miastem, fabryką i maszyną. Toteż i bunt przeciw kapitalizmowi przeistacza się u niego w bunt przeciwko kulturze miejskiej i maszynie.

Obserwujemy w powieści również walkę trzech „ras“ — z tem oczywiście, że „rasy“ obce zostają potępione wraz z kapitalizmem. Cowięcej: ruchliwe, egoistyczne i zmaterjalizowane życie wielkomiejskie jest jakoby obce psychice polskiej, podczas gdy np. Żydzi „mają to we krwi“. Ten (zrodzony zresztą z ideologji „Głosu“) antysemityzm, niepozbawiony przecież i dzisiaj aktualnych akcentów, jest charakterystycznem uzupełnieniem aktu oskarżenia, jaki Reymont wytoczył kapitalizmowi w swej powieści.

Mimo tego obcego nam dziś ujęcia roli miasta w rozwoju życia społecznego, wizja artystyczna, zawarta w powieści Reymonta, nie jest pozbawiona momentów prawdziwych i szczerych. W niektórych partjach porywa nas nawet przedstawieniem bujnego, niemal na gorącym uczynku pochwyconego życia łódzkiego. Toteż „Ziemia obiecana“ pozostanie interesującym dokumentem swojej epoki, oświetlającym również w sposób ciekawy społeczne oblicze autora „Chłopów“.

S. Kleinerman

C. O. P.

Melchjor Wańkowicz. C. O. P. Ognisko siły Centralny Okręg Przemysłowy. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 164 i 4 nl.

Nieprzyjemną reklamę zrobił tej książce proces Cywińskiego. Przewód sądowy spopularyzował zawarte w niej powiedzenie Piłsudskiego o „Polsce — obwarzanku“ i częściowo refleksje autora nad stanowiskiem człowieka w Polsce, nad erą poniewierania człowiekiem. Nic ponadto; zaś książka, owoc trzydniowej tylko wycieczki dziennikarskiej, daje nam Rożnów, Sandomierz, Rzeszów, Zakłady Południowe, Niedomice, Stalową Wolę, Mościce, w nich nowych ludzi, którzy z „rajzbretem“, cyrklem, kielnią czy kilofem w ręku zamieniają kraj pustki gospodarczej, przeżarty nędzą galicyjską jak Pokucie syfilisem, na ziemię obiecaną przemysłu, polską rozdzielnicę główną energji. Krzepnięcie Rożnowa, wkrótce już mającego mocować się z Dunajcem 380 tysiącami metrów sześciennych betonu zapory, poskramianie Wisły, na jednym tylko odcinku — od Oświęcima do Sandomierza — dające 16.000 ha nowych pól i 32.000 ha ochronionych przed zalewem, łomot kafarów w Stalowej Woli, zabudowanej miljonem metrów sześciennych na przestrzeni 80.000 m², prasy o sile 1000, 2500, 5000 ton, potężny kompleks P. Z. L., 11.000-metrowa hala fabryki Cegielskiego, znaleziny obfitych pokładów rud żelaza pod Frysztakiem, znaleziny szczęśliwe, chłopskie, nie przez fachowych geologów dokonane, zabezpieczające nas na długo przed importem z zagranicy, żywa acz prymitywna jeszcze eksploatacja tych złóż, sztuczna fabrykacja kauczuku, splot rusztowań, ruch dźwigów, huk młotów i warkot motorów — szczepienie potężnej techniki w teren nieprzetrzebiony dotychczas z mateczników Puszczy Sandomierskiej i mateczników analfabetyzmu — wprawiają reportera w pobożny zachwyt pielgrzyma, któremu po długich latach Polski stawiającej na przetrwanie i walor gospodarczy zaciśniętego pasa, po erze Polaka-szlachcica, urzędnika i rolnika, dane zostało ujrzeć pierwociny rozmachu, planowej inicjatywy, trudne, uparte narodziny Polaka-inżyniera, budowniczego, kalkulatora, majstra. Jednak ta msza entuzjastyczna zawiera podziw z rodzaju wykluczającego automatycznie możliwość nietyle rozdrapania ile postawienia w stan dyskusji charakterystycznych dla C. O. P-u problemów, jak — najdonioślejszy — udział miejscowej ludności w budowie i codziennej pracy wytwórczej okręgu, usunięcie przewlekłego nieżytu gospodarczego i społecznego ziem C. O. P.-u, zdolne się odbyć tylko przy równoczesnem traktowaniu sprawy rolnej, jednoczesnej rozbudowie przemysłu przetwórczego, reorganizacji zbytu płodów rolnych, wskrzeszeniu rozbudowy szkolnictwa powszechnego i zawodowego, naturalnie bez prób ożywiania dogorywającego, skazanego już tylko na przeszłość rzemiosła, więc prymitywizmu produkcyjnego i handlowego. Może ze względu na ramy formalne i treściowe reportażu autor nie wszedł głębiej w zagadnienie przekrojowe: likwidacji struktury rolnej ziem inwestowanych, zmiany na przemysłową, jak najściślejszego związania kraju wyodrębnionego granicami okręgu z rzucanym weń przemysłem.

Wyczuwa się, że autor jednym tchem chciał oddać, przekazać innym to co ujrzał, na plan dalszy więc musiało zejść rozpatrywanie, rozstrząsanie, i nie jest to praca na miarę „tropów smętkowskich“, ale też w świeżości, gładkości opisu, wyszukiwaniu interesujących aspektów napotkanych spraw, w potoczystości języka nie ustępująca innym, żywo przypominająca szlachetne troski innych dzieł Wańkowicza. Szczególnie w namiętnej przestrodze, by C. O. P. i jego przemysł, jego technika nie poniżyły człowieka, ale by go wyzwoliły.

Jerzy Ostrowski. Widły Wisły i Sanu. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 232 i 8 nl.

Widły Wisły i Sanu to tylko jedna trzecia obszarów O. C., ale autor w zgromadzonej na wycieczkach i studjach problematyce dąży do objęcia i zdrenowania zagadnień właściwych także rejonowi kieleckiemu — A i lubelskiemu — B. Rezultaty są jednak nikłe, niemal w proporcji zdobyczy terenowych — jak przypadkowy wypad za Wisłę do Opatowa i zaopatowskiego Ujazdu, zdobnego w historyczne ruiny zamku Krzysztofa Ossolińskiego, gdzie autor zaprzepaścił swoisty czar refleksyj historycznych, nawet estetyczną wymowę ilustracji, niezręcznie fotografując najpiękniejszy może w Świętokrzyżczyźnie zabytek architektoniczny. Skala tematu w tej książce jest więc w większości regjonalna i ta najlepiej autorowi odpowiada, dając jako zżytemu z terenem większe możliwości trafnej obserwacji i głębszych wypowiedzi, choć także w rozdziale monografizującym Rzeszów nieznacznie tylko wydobyte; zakres ogólno-polski, aspekt państwowy budowy C. O. P-u wymyka się Ostrowskiemu spod pióra ogólnikami i znanemi skądinąd powtórzeniami w przeciwieństwie do Wańkowicza, traktującego problem prawie zawsze w cyfrach wymiarowych energji potrzebnej państwu, malejącego wykresu importu rudy, kilometrów dróg jeszcze nie bitych i nie asfaltowanych, pod kątem widzenia siły przetworzenia gospodarczego, umysłowego kraju i ludzi, zdolności ekspansywno-wychowawczej C O. P.-u.

Reportaż Ostrowskiego rzadko zahacza o przemysł, nie często odzywa się tu łomot dźwigów, raz tylko rozdziera „taką samą jak dawniej“ noc podrzeszowską łuna świateł elektrycznych miasta, doniedawna galicjałów, urzędników, emerytów i studenckich stancyj w zegadłowiczowskim stylu, grodu Spytka Ligęzy. Uwaga dyrektora drugiego gimnazjum w Rzeszowie skupia się na cechach demograficznych i geograficzno-gospodarczych ziemi, która ma być podbudową powstającego tu przemysłu. Nie wybiega jak Wańkowicz w przyszłość śmiałemi, uproszczonemi rzutami. Obrazuje sytuację, jaką zastaje przemysł, notuje, rozważa spostrzeżenia o kraju, w którym obok przeludnienia, obok pół miljona rąk zbędnych w samem rolnictwie, nędznych jednoklasówek powstaje twórczy ośrodek polskiej myśli chłopskiej, Gać Przeworska, obok częstych folwarków nie płacących podatków, o zarządzie przymusowym, kuli się suchotnicza szkółka, w której nauczyciel przez pięć godzin przekrzykuje 87 dzieci, a po nocach powiększa mapę Europy, żeby mogły zobaczyć, jaka Polska jest wielka i z kim sąsiaduje, jak wygląda Europa. Ten rozdział szkolny „Oczy w łachmanach“ jest wstrząsający i upokarzający, przeraźliwy w swej rzeczywistości bez „realizmu“. Była to dziedzina najbliższa autorowi i może dlatego po nocy spędzonej sam na sam na rozmowie z nauczycielem wiejskim, z prawdą szkoły I-go stopnia, z 0,5% stosunkiem dzieci chłopów małorolnych w pierwszej klasie gimnazjum do pierwszej klasy szkoły powszechnej, autor osiągnął szczytowy punkt swego reportażu, który w trakcie czytania wskazuje, że ta forma literacka wypowiedź mu raczej utrudnia, rozwadnia, że daleko większe możliwości otwierają się przed nim w monografji.

Praca, wydobywająca nieodkryte w „pośpiechu twórczym“ zagadnienia, czekające tu oddawna na uregulowanie i stojące dzisiaj w obliczu **wielkiej okazji**, ma tę wartość, że wskazuje na niemożność załatwienia problemów gospodarczych zaniedbanych ziem okręgu przez samo tylko uprzemysłowienie, czego charakterystycznym symbolem może być mandżurska „czumiza“, roślina rodzaju zboża, o pożywnem ziarnie i nadającej się na paszę dla bydła łodydze, chętnie przyjmująca się w ciasnych powiatach — rzeszowskim i kolbuszowskim, i z wysiłkiem przeprowadzana meljoracja gruntów, hamowana przez hr. Potockiego, nie płacącego należności od swych działek. I Ostrowski i Wańkowicz pominęli południe, ropę jasielsko-krośnieńską. Ropa, górnictwo naftowe — są stale jeszcze kopciuszkiem w sprawozdaniach z C. O. P.-u.

Franciszek Gil

Sprawy filmowe

OLIMPJADA
(reż. Leni Riefenstahl)

Chciałoby się nie myśleć o polityce, chciałoby się wierzyć, że film olimpijski na przekór wszystkiemu, co się dzieje, na przekór własnym twórcom służy idei zbliżenia narodów. Zaczyna się od śmiałej wizji Grecji antycznej i od symbolicznej sztafety, która niesie płonącą pochodnię z Olimpu do Berlina. Sztafeta biegnie naprzełaj, jak żywy pomnik braterstwa narodów, pochodnia nie obawia się odrutowanych granic, łańcuch rąk sprężonych wspólnym wysiłkiem łączy świat w geście pełnym szlachetnego patosu. Jesteśmy co raz dalej od starożytnego Olimpu, co raz bliżej nowoczesnego Berlina. I nagle na trasie biegu sztafetowego wykwitają dwie tragiczne nazwy: Czechosłowacja, Austria... Przymykamy na chwilę zmęczone oczy, pogańska wizja bierze poprostu w łeb, znów tkwimy w nerwowej atmosferze rzeczywistości, znów tłoczą się bezładne, niespokojne refleksje, wątpliwości i podejrzenia. Bardzo trudno patrzeć na niemiecki film o olimpjadzie, nie pamiętając o tem, co reprezentują jego twórcy. Więc może to tylko przewrażliwione nerwy przeciętnego zjadacza depesz prasowych każą dopatrywać się w igrzyskach berlińskich nie zbliżenia narodów, lecz dżentelmeńskiego treningu przed inną rozprawą, wytwornej próby sił, które zaważyć mają na innych rozstrzygnięciach, niż rekord w rzucie oszczepem czy w pływaniu stylem klasycznym. Może to tylko niepokój i gorycz dyktują widzowi niepokojące wrażenie, że olimpjada berlińska była nie igrzyskiem sportowem, lecz próbnem starciem gotowych do wojny nacjonalizmów. To wrażenie potęguje jeszcze leitmotiv optyczny tego filmu: pojawiająca się wciąż nanowo twarz „führera“, pełna napięcia i dziecięcego niemal wzruszenia. Bardzo trudno uwierzyć w bezinteresowną, sportową ciekawość wodza, gdy równocześnie tak głośno dźwięczą nam w uszach chełpliwe wypowiedzi o wyższości rasy germańskiej i jej bojowych walorach. I nagle — mamy już dość świetnej rewji, dudniącej odgłosem dzwonów i fanfar, falującej stumetrowemi sztandarami i bardzo w gruncie rzeczy posępnej. Tęsknimy do innego sportu, tego, który wyrósł daleko od Berlina, na antycznych stadjonach Olimpu, pozbawiony państwowej kurateli, nieskrępowany i wolny.

Pod względem technicznym film stoi na poziomie wysokim, jakkolwiek pewne zastrzeżenia nasuwa jego kompozycyjna niejednolitość. Wysokiej klasy reportaż sportowy ujęty został w stylizowane ramy misterjum. Romantyzm i patos prologu kłócą się ze zbyt suchą rzeczowością i pedanterją dalszych obserwacji. Dopiero w fragmencie, dotyczącym konkurencji maratońskiej odbiega realizatorka od metody optycznego stenogramu i w sugestywnej kompozycji obrazów, w ekspresji skrótów optycznych i słabnącym rytmie montażu ujawnia głęboką dramatyczność 40 kilometrowego biegu, jego ludzki i sportowy heroizm. I znów, kiedy się patrzy w wykrzywione męką twarze zawodników, wraca niepokojąca pewność, że ta próba sił ma złowieszczą, bynajmniej nie sportową wymowę.

Jerzy Bossak

KORESPONDENCJA

„GRUNT — TO FORSA!“

Do redaktora „Sygnałów“

Kulisy „ideowych“ przemian nielicznych na szczęście przedstawicieli młodego pokolenia, którzy wyrzekają się młodzieńczych „wzlotów i porywów“, przechodząc na żołd narodowego totalizmu, odsłaniają w sposób aż nadto dosadny niedrukowane po dziś dzień list i artykuł Jerzego Pietrkiewicza, czołowego poety i publicysty „Prosto z Mostu“, „Kroniki Polski i Świata“ oraz „Polski Zbrojnej“. Prace Pietrkiewicza drukowały także katolickie perjodyki: „Kultura“ i „Tęcza“.

Cała wymowa przytoczonych niżej fragmentów (i całe ich dydaktyczne znaczenie) polega na tem, że: 1) list pisany już po nawiązaniu współpracy poety z wydawnictwem „Prosto z Mostu“ zawiera ofertę pod adresem „masońskiego“ podówczas „Kurjera Porannego“, 2) artykuł, przeznaczony do druku w piśmie, pozostającem pod wpływem zagorzałego antyklerykała, red. W. Rzymowskiego, bierze w obronę nauczycieli wiejskich szkół powszechnych przed atakami rozpolitykowanego kleru, który „pogłębia nieufność wieśniaka do nauczyciela, zarzucając mu oziębłość religijną“.

Wysyłając artykuł do pisma, które pozostawało na stopie wojennej z obozem klerykalno-narodowym, pan Pietrkiewicz zdawał sobie sprawę, że równoległa współpraca w ówczesnym „Kurjerze Porannym“ i w „Prosto z Mostu“ jest rzeczą, mówiąc delikatnie, bardzo śliską i niebezpieczną. Wolał tedy zachować incognito: dlatego też list kończy wielce charakterystycznem zdaniem, zaopatrzonem w sążnisty wykrzyknik: „A nazwiska mego **stanowczo** nie zdradź!“ Wyraz „stanowczo“ podkreślony grubą linją.

Poza wielką, jak na dwudziestoletniego młodzieńca, przezornością podziwiamy, używając określenia z „Prosto z Mostu“, prawdziwie żydowski spryt i wybitne zdolności do handlu tego utalentowanego poety i aryjczyka.

Rozkładając cały kramik swych publicystycznych fatałaszków, które chętnie pod warunkiem dotrzymania tajemnicy gotów jest sprzedać w kramiku konkurentów swego aryjskiego (z ducha) patrona, pan Pietrkiewicz stawia sprawę z wytrawnością zawodowego handlowca: „Grunt to forsa! Z honorarjum bierzesz sobie 25% lub 20%“. Ciekawi jesteśmy, komu i jaką prowizję ofiarowuje pan Pietrkiewicz za drukowanie swych poezyj w „Prosto z Mostu“ czy w poznańskiej „Kulturze“.

W tych warunkach nie będziemy zdziwieni, jeśli nagle okaże się, że artykuły podpisywane w „Naszym Przeglądzie“ powiedzmy nazwiskiem S. Roze — są naturalnem potomstwem naszego wybitnego przedstawiciela narodowej literatury.

Ograniczając się do tych kilku skromnych komentarzy, oddajemy głos samemu poecie. Cytujemy najpierw najistotniejsze momenty listu:

„Działyń, 8. VII. 36.

Artykuł przesyłam. O nauczycielu. Bardzo aktualny. Jeśli ten artykuł pójdzie, służę następnemi. (O młodzieży. Reportaż ze żniw i sprzedaży zboża, z dożynek etc.). Wogóle, **co będą chcieli** (podkr. K. A.) o wsi. Ale grunt — forsa. Bardzo mi ona potrzebna. Z honorarjum bierzesz sobie 25% lub 20%.

P. S.

W razie druku natychmiast prześlij mi numer K. P. („Kurjera Porannego“, który w innem miejscu tego listu autor nazywa żartobliwie „miłym leiborganem“ — przyp. K. A.). A nazwiska mego **stanowczo** nie zdradź!“

Przejdźmy teraz do najciekawszych momentów samego artykułu, zatytułowanego przez autora: „Prawda o nauczycielu wiejskim“.

„Nauczyciel stał się dla wsi dobroczyńcą, zbliżając ją do nauki i kultury. Gospodarz z wykształceniem szkoły powszechnej inaczej ustosunkowuje się do pracy na roli i życia społecznego, lepiej umie korzystać ze zdobyczy techniki w gospodarowaniu, niż jego ojciec - analfabeta“.

„Nauczycielowi najwięcej potrzeba wolności; wolności pracy i znośnych warunków materjalnych.

Wolność tworzenia. Jakże o nią dziś trudno. Nauczyciela wygrywa się w grze politycznej. Wciśnięty między czujne oczy starosty i księdza lawiruje, jak może. Lęk człowieka współczesnego przed przyszłością, lęk przed utratą posady, tu raz jeszcze występuje. Nauczyciel „musi“ organizować życie społeczne na wsi; „musi“ być w straży pożarnej, „musi“ organizować „Strzelca“, „pożądane jest“, aby opiekował się organizacjami młodzieży, współpracował z urzędem gminnym i t. p.

Przepaść między inteligentem a chłopem powiększa nędza wsi i polityka kleru. Kler zawsze pragnął i pragnie kierować chłopem. Ambona jeszcze dotąd oddziaływuje potężnie na wieś.

Objektywnie należy stwierdzić, że kościół naogół bardzo dodatnio wpływa na psychikę wieśniaka; umacnia go, daje dużo tak bardzo dziś potrzebnej wiary w przyszłość i w siebie“.

(W tem miejscu wieszcz Pietrkiewicz wyczuł prawdopodobnie w proroczem natchnieniu, że to jedno jedyne zdanie w liście może stać się dla niego deską ratunku w oczach wpływowych dyspozytarjuszów ziemskich i niebieskich skarbów. Będąc przeciwnikami nielojalnych chwytów, przytaczamy te zdania autora z całym objektywizmem, stwierdzając równocześnie, że w naszej opinji ten kompliment w niczem nie osłabia druzgocącej wymowy wywodów, które cytujemy niżej).

„Ale polityka wielu księży — stwierdza dalej nie żaden „żydo-mason“, lecz właśnie bogobojny Pietrkiewicz — zmierzająca do utrzymania, a nawet wzmocnienia hegemonji we wsi, wrogo ustosunkowuje się wobec nauczyciela. Walka ma podłoże nietylko personalne, ale i polityczne.

Księża, organizując stowarzyszenia katolickie młodzieży, rywalizują z prowadzonemi najczęściej przez nauczycieli organizacjami młodzieżowemi... Walka nierówna. Ksiądz może łatwo pogłębić nieufność wieśniaka do nauczyciela, zarzucając mu oziębłość religijną (chwyt często stosowany! — **przyp. Jerzego Pietrkiewicza).** Wszystkie te czynniki demoralizują nauczycielstwo, otępiają je, a co zatem idzie, osłabiają oddziaływanie oświaty na wieś“.

Czyż można trafniej scharakteryzować stosunek kleru do oświaty i nauczyciela?!

„Szkoła, oddziałująca przez kilka lat na dzieci i młodzież, pozwalała jedynie i pozwala ugruntować kulturę w chłopie. Chodzi tylko o wysoki jej poziom i o inny tryb życia nauczyciela. Dajmy mu wolność osobistą, niech jego udział w pracy społecznej będzie pozbawiony przymusu“.

Taką oto myśl rzuca młody filar tego samego kierunku, który rozpoczął niepoczytalną kampanję przeciwko swobodzie i wolności osobistej polskiego nauczyciela. Wprawdzie czyni to pokryjomu, z myślą o honorarjum autorskiem, wprawdzie robi to „pod gościa“, do „miłego leiborganu“, to jednak mimo pewnych konjunkturalnych odchyleń daje w ogólnych zarysach dość trafną analizę prawdziwego stosunku naszej reakcji i kleru do nauczyciela i oświaty, tego samego stosunku, którego epilogiem był surowy wyrok na autora niegramatycznego artykułu z oenerowskiego „ABC“.

A teraz pozwolimy sobie na chwilowe (pozorne zresztą) odstąpienie od tematu, które posłuży nam za punkt wyjścia przy ocenie bohatera pechowej korespondencji.

Jeden z utalentowanych karykaturzystów na zapytanie, jak może połączyć równoczesną współpracę w dwóch pismach o różnej, zwalczającej się ideologji, udziela takiej oto salomonowej odpowiedzi:

„Dajcie mi święty spokój, przecie ja jestem poprostu... zdun“.

Odpowiedź, mimo całego cynizmu, wprost rozbrajająca, jeśli chodzi o szczere i wyraźne samookreślenie społecznej i politycznej pozycji. Cynizm karykaturzysty ma tę dobrą stronę, że twórca publicznie rezygnuje z jakiejkolwiek ideologji, ze wszelkich ambicyj przebudowywania rzeczywistości w myśl takich czy innych założeń. Nie wprowadza przynajmniej nikogo w błąd, gdy wręcz i bez ogródek oświadcza, że „robi pod gościa“, solidnie za umówioną opłatą wykonywa każde zamówienie, nie wkładając w nie ani własnej inicjatywy, ani pasji twórczej, ograniczając się do technicznego wykonania powierzonej sobie roboty.

To jest jeden rodzaj „zdunów“.

Drugi rodzaj zdunów o wiele bardziej niebezpieczny z moralnego punktu widzenia, stanowią twórcy o pokroju Jerzego Pietrkiewicza.

„Zdun“ taki, wnosząc do publicystyki zasadę: „grunt — to forsa“ i ofiarowując ostrze swego pióra równocześnie dwom zwalczającym się obozom, stroi się przytem w sutannę kapłana idei, obrońcę najświętszych wartości ludzkiego ducha.

Cynizm idzie tu w parze z dwulicowością i tak daleko posuniętem załganiem, że twórca przestaje być szczery nawet wobec swojej własnej osoby. Jeżeli wraz z odgrywaną rolą wzrasta pozycja materjalna i społeczna, twórca-kabotyn do tego stopnia wciąga się w uprawiany proceder, że umie nawet oszukać głos własnego sumienia. I później już sam nie wie, gdzie kończy się załganie, a zaczyna się prawdziwy, własny stosunek do życia. Zazwyczaj taki stosunek zanika wogóle. Pozostają: żłób i rutyna.

Tem prawdopodobnie należy tłumaczyć apoteozę pogromów, głoszoną zdawałoby się przez ludzi inteligentnych i kulturalnych, szczucie przeciwko pionierom oświaty, węszenie „żydokomuny“.

Akcji tej przygrywa na sentymentalnej fujareczce jasnooki dwudziestoparoletni Jerzy Pietrkiewicz, który w czasach zamierzchłej młodości, kiedy jeszcze nie pisywał do „Prostu z Mostu“, sam był przecie człowiekiem kulturalnym, owianym duchem humanitaryzmu i postępu.

A dzisiaj? Próchno: żłób i rutyna. I przypadkowo ocalały list, dokument z okresu... narodowego przełomu.

P. S.

Z artykułu Jerzego Pietrkiewicza, który zupełnie przypadkowo trafił do moich rąk, podałem jedynie najbardziej charakterystyczne wyjątki, usiłując równocześnie w doborze ich zachować jak najdalej posunięty objektywizm.

Gdyby jednak zasłużony poeta uważał, że myśl przewodnia jego artykułu została przez to spaczona, chętnie nadeślę na jego ręce notarjalnie poświadczony odpis całości celem zamieszczenia w „ABC“, „Prosto z Mostu“, „Tęczy“, czy wreszcie w „Kronice Polski i Świata“.

Zgóry jednak uprzedzam, że nie umówię się do „Ziemiańskiej“, ani do innej cukierni, ale poprostu nadam na poczcie pod łaskawie wskazanym adresem.

Konstanty Anselm (Warszawa)

KATOLICYZM I UCZENI

Do redaktora „Sygnałów“

W ostatnim numerze „Sygnałów“ Józef Ciągliński zaczepił ustęp mego artykułu „Zmierzch antyklerykalizmu“ („Sygnały“, nr. 50), w którym stwierdziłem, że na zanik antyklerykalizmu wpłynęły również „najnowsze zdobycze nauk przyrodniczych“ i że „pognębionym teologom niespodziewanie w sukurs przyszły właśnie nauki przyrodnicze“.

W ustępie, o który chodzi, chciałem stwierdzić, że w naukach przyrodniczych zapanowały dziś teorje, które katolicy uznali za korzystne dla siebie. Podkreśliłem, że apologeci katolicyzmu na poparcie swoich tez często przytaczają opinje najbardziej miarodajnych przedstawicieli nauk przyrodniczych, co dawniej było nie do pomyślenia. Uznałem powyższe zjawisko za jedną z przyczyn zaniku prądów antyklerykalnych wśród dzisiejszej inteligencji. Ciągliński tego mojego stwierdzenia nie podważył; poniekąd nawet je wzmocnił, twierdząc, że profesorowie fizyki sami zastąpili apologetów katolicyzmu.

Ciągliński, nie negując, że opinje największych fizyków są jak najbardziej przychylne dla teologów, tłumaczy te opinje nie rzeczywistemi zdobyczami nauk przyrodniczych, ale tem, „że profesorowie poddali się czy poprostu udali się do obozu faszyzmu i interpretują proteologicznie swoje zdobycze, zupełnie niezależnie od jakiegobądź ich charakteru“. Zgadzam się naturalnie z tem, że naukowcy nie tworzą w oderwaniu od rzeczywistości społecznej. Cokolwiekby się jednak sądziło o wpływie czynników socjalno-politycznych na twórczość naukową, uważam, że tłumaczenie opinij naukowych najwybitniejszych fizyków poprostu ich przekonaniami politycznemi jest zbyt ryzykowne.

Powtarzam: nie znając się na naukach przyrodniczych, nie wdaję się w kwestję, czy opinje profesorów fizyki są zgodne z rzeczywistemi wynikami badań przyrodniczych. Ciągliński sądzi, że nie. Oczywiście w najmniejszym stopniu nie czuję się kompetentny do rozstrzygania sporu, jaki objektywnie istnieje między najgłośniejszymi profesorami fizyki a Ciąglińskim.

W związku z poruszoną przez Ciąglińskiego sprawą, zwracam uwagę na jedną poważną bolączkę. Jeżeli rzeczywiście najnowsze wyniki badań przyrodniczych są zgodne z tezami filozofji materjalistycznej, to dlaczego wiemy o tem tak mało? Dlaczego niema prawie zupełnie książek, któreby w sposób popularny, ale jednocześnie poważny i naukowy oświetlały z materjalistycznego punktu widzenia badania przyrodnicze, podczas gdy rynki księgarskie są poprostu zarzucane książkami popularno-naukowemi autorów o głośnych nazwiskach, którzy dochodzą do wniosków wybitnie teozoficznych? Jako tako oczytany inteligent katolicki sypie jak z rękawa cytatami z Eddingtona, Jeans'a, Planck'a i innych powag w zakresie nauk przyrodniczych, zaś inteligent lewicowiec skazany jest na szukanie pomocy nieledwie w poczciwym „Antidühring“-u. Trzeba mieć żal do ludzi, którzy ze względu na swoją wiedzę przyrodniczą mogliby kompetentnie zabrać głos w tych sprawach po stronie materjalistów, że ograniczają się do wyniosłych zaprzeczeń, zamiast w sposób spokojny i naukowy, wykazać zgodnie z dzisiejszym stanem nauk przyrodniczych, że apologeci teozofizmu nie mają racji, i dlaczego mianowicie nie mają racji. Lojalnie muszę przyznać, że, sądząc z interesującego artykułu Ciąglińskiego o Carrelu w ostatnim numerze „Sygnałów“, ta druga metoda nie jest mu obca. Z fizykami trzeba walczyć fizyką, nie zaś polityką.

W końcu swego listu Ciągliński pisze: „Dopuszczenie podniesionej przeze mnie sprawy w „Sygnałach“ jest rzeczą bardzo przykrą, bo upoważnia do zrobienia uwagi, że niepognębionym jeszcze teologom przychodzą z pomocą także „Sygnały“. Nie rozumiem takiego stanowiska. Czyż dlatego, że opinje wybitnych fizyków są dzisiaj nieprzychylne dla materjalizmu filozoficznego, mamy je przemilczać? Nie, to nie byłoby stanowisko godne publicystyki socjalistycznej.

Zresztą nie widzę powodów do zdenerwowania z okazji uciechy, jaką teologom sprawiają swojemi opinjami profesorowie fizyki. My, laicy w sprawach nauk przyrodniczych, jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że nawet profesorowie fizyki zmieniają swoje zdania. Losy socjalizmu napewno nie będą zależały od elektronów.

Sygnalizuję ponadto ukazanie się w prasie katolickiej dwóch artykułów o stosunku katolicyzmu do socjalizmu, które są odpowiedzią na moje artykuły o katolicyzmie społecznym. Myślę o artykule dr. Apolinarego Żukowskiego w miesięczniku Jezuitów „Wiara i Życie“ („Rewolucja uczuć na lewicy“ nr. 9, 1938) i artykule J. W. w organie inteligencji sodalicyjnej („Sodalis Marianus“ nr. 10, 1938). Oba artykuły są poważne w treści i kulturalne w formie, co z radością stwierdzam. Już samo osiągnięcie tego tonu w polemice między katolikami a socjalistami jest zachętą do dalszej pracy w kierunku, jeśli nie zbliżenia, to przynajmniej uprzątnięcia pola do walki otwartej i rycerskiej.

Józef Lubojański (Chorzów)

NIEUWAŻNY KRYTYK

Do redaktora „Sygnałów“

W numerze 50 „Sygnałów“ ceniony poeta i krytyk Jerzy Kamil Weintraub po nieuważnem przeczytaniu wierszyka mojego p. t. „Wsi wesoła, wsi szczęśliwa“ zarzuca mi brak poczucia polskiej przynależności kulturalnej. Jest to niesłuszne i nieścisłe. O wiele bardziej niesłuszne i nieścisłe, niż przekręcanie tytułu wyżej wspomnianego wierszyka. Dałem mu tytuł „Wsi wesoła, wsi szczęśliwa“. Jerzy Kamil Weintraub zatytułował go patetyczniej: „Do polskiej lipy“.

Onego czasu istotnie mieszkałem na wsi u księdza i napisałem o tem wiersz. W wierszu tym niema mowy o tem, jak cytuje ceniony krytyk, że „szedłem wraz z wierszami na mszę, mimo, że w metryce mojżeszowe wyznanie pisane“. Są natomiast strofy następujące:

Ksiądz nie wiedział, że mam w paszporcie
Mojżeszowe wyznanie, bom szedł
Do kościoła, jak wierni, pokornie
W grom organów i w modłów szept.

Z siermięgami od pługa, od brony,
Z rumianemi babami od krów
Przed glinianym Chrystusem pokłony
Kładłem ciepłe, głębokie, jak rów.

Wracając do wierszyka p. t. „Wsi wesoła, wsi szczęśliwa“, pozwolę sobie zacytować go w całości ku mojej obronie.

WSI WESOŁA, WSI SZCZĘŚLIWA...

Wsi wesoła, wsi szczęśliwa,
Lato polskie, jakże piękne!
Kiedy widzę twoje żniwa,
Rozmarzony, cichnę, mięknę.

Tutaj w mieście nuda ściska,
Nad zarobkiem tu się głowisz,
A tam szumi Konopnicka,
A tam wieje Lenartowicz.

Tam kalina liść szeroki
Ponad kubkiem złotym niesie,
Tam lirenka pod obłoki
Łka, aż struna rzewna rwie się.

Był to dworek z telefonem.
Zadzwoniłem. — W jakiej cenie? —
I nad polem, nad zielonem
Trwało nasze połączenie.

— Tak, pokoje są dość tanie —
Biegły słowa ponad łanem.
(O mój czarnoleski Janie,
Tyś był również dworku panem,

Ale słowa twoje były
Jakieś cichsze, nie kupieckie
I śpiewały, nie mówiły,
Ach, nie szare, lecz niebieskie!)

— Tak, pokoje sa dość tanie.
Cicho u nas, Niema krzyków.
Na dodatek niema, panie,
U nas żydów, ni gruźlików.

Bo i żydzi i gruźlicy
(Ciągnął dalej słowa wdzięcznie)
Są — che — che — posępni, dzicy,
Załamani są wewnętrznie...

— — — — — — — —

Lipy polskie! Miejska wrzawa
Gniecie mnie nakształt kamienia...
Trudno, lipy! Nie mam prawa
Dzisiaj do waszego cienia!...

Mam nadzieję, że nikt, prócz Jerzego Kamila Wentrauba, nie potraktuje poważnie humorystycznej inwokacji do polskich lip i nie wysnuje z tego wyraźnie ironicznego czterowiersza, że „niema już cienia pod polską lipą dla obcego poety“. Nie! Uważam, że jest cień, ale Jerzy Kamil Weintraub nie ma ani cienia zrozumienia dla tego wierszyka.

Włodzimierz Słobodnik (Warszawa)

SPRAWA K. W. ZAWODZIŃSKIEGO

Do redaktora „Sygnałów“

W „Roczniku Literackim“ z 1938 roku przeczytałem wzmiankę K. W. Zawodzińskiego o moim tomie i ze względu na szczególne kryterja, jakiemi się posługuje Zawodziński, jestem zmuszony poruszyć tę sprawę publicznie. Nie chcę być źle zrozumiany, sprawa nie ma charakteru osobistego. Wzmianka o moim tomie jest tylko punktem wyjścia.

Rozumiem dobrze, jak względne są kryterja literackie. Można być gorącym apologetą „Skamandra“, stać na stanowisku metryki regularnej, za sprawdzian *poetyckości* wiersza uważać metronom. Ale obowiązuje przy tem wszystkiem odpowiednia forma uzewnętrzniania swoich poglądów, mieszcząca się w ramach europejskiego klimatu kulturalnego. Można uczynić z awangardy, która nie podpada pod kryterja metronomu, masonów poezji, a pojęcie „awangardzista“ utożsamić z wartościowaniem negatywnem. To już jest kwestja odpowiedniego poziomu wywodów krytycznych czy polemiki. Dlatego jestem pełen uznania dla Michała Chmielowca, który na łamach „Sygnałów“ polemizował w niezwykle kulturalny sposób z Zawodzińskim, czy dla Leona Kruczkowskiego, który w równie kulturalny sposób prowadził dyskusję z Piaseckim. Ale kiedy Zawodziński, wytykając w moim tomie obsesję wyrazową „weranda“, zaopatruje swoje wywody epitetem „jak w Falenicy“, sprawa nabiera szczególnego posmaku, a pasje i iście szlachecki wigor, z jakim Zawodziński piętnuje „herezje awangardzistów“, przypomina swoim klimatem kulturalnym... Zaścianek Dobrzyński. Pomijając to, że Zawodziński z podobną inwektywą, bo nie można tego inaczej nazwać, pomylił się w adresie, nie bez znaczenia wydaje mi się fakt, że „Rocznik Literacki“ finansuje „Fundusz Kultury Narodowej“.

I tu, niestety, uwypuklają się szczególne wpływy naszego zachodniego sąsiada: Zawodziński w recenzji p. t. „Dwie poetki“, omawiając tomy J. Gamskiej-Łempickiej i Andy Eker, pisał o tej ostatniej, że chociaż

„odmienna rasą i wyznaniem“ jest jednak „urodzoną poetką“.

Czyżby „Fundusz Kultury Literackiej“ wpływał na kryterja literackie Zawodzińskiego?

Jerzy Kamil Weintraub (Warszawa)

*

K. W. Warszawa. Artykuł „Pakt czterech“ nadaje się do dziennika. Prosimy o dalszą pamięć.

Wł. Szl. Warszawa. Wiersz „Synowie“ nie będzie drukowany.

Zb. W. Katowice. Z wierszy nie skorzystamy.

Wuem. Kraków. Wiersze jeszcze nie do druku. Warto pracować. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

Z. O. Piaseczno. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Są one dla nas pomocą i otuchą w ciężkich chwilach. Numer 50 wysłaliśmy. Zasyłamy pozdrowienia.

C. L. Łódź. Prosimy o porozumienie się z redakcją i podanie adresu.

P. K. Łódź. Artykuł wyzyskamy w najbliższym numerze.

H. B. Warszawa. Z wierszy nie skorzystamy.

Oblicze dnia

„Nasi przyjaciele“. Znany hitlerowski teoretyk pangermanizmu, E. Banse, w swojej ostatniej książce „Deutschland“ wlicza do państwa pangermańskiego Flamandów i Holendrów. Gdyby Normanowie nie zlatynizowali angielskiego języka, Anglicy napewno byliby na liście „prawdziwych“ Germanów. Jest jasne, że niemiecka ludność w Alzacji i Szwajcarji jest bardziej germańska, aniżeli Słowianie w Czechosłowacji, na Śląsku i Pomorzu, którzy byli germanizowani przez biurokrację austrjacką i pruską.

W Hiszpanji rządowej rozbudowuje się przemysł wojenny. Trzysta pięćdziesiąt fabryk w samej Katalonji produkuje samochody, armaty, pociski, samoloty i t. d. W fabrykach pracują głównie kobiety. Mężczyźni poszli na front.

Propaganda. Kioski gazetowe, kawiarnie i półki księgarskie zostały zasypane od pewnego czasu hitlerowskim wydawnictwem miesięcznem „Freude und Arbeit“. Nawet prorządowy „Tygodnik Illustrowany“ (nr. 33) pisze, że pismo to „nie tylko gloryfikuje na swoich łamach prawie że wyłącznie wszystko, co jest niemieckie, i to w sposób niesłychanie aroganck — ale pozatem **kpi sobie** najwyraźniej z Polski i Polaków...“. Zaznaczamy, że masowy kolportaż „Freude und Arbeit“ prowadzi „Ruch“, który nie dopuszcza do sprzedaży w swoich kioskach pism polskich, woli natomiast sprzedawać przeciwpolskie pisma hitlerowskie, bo to mu się bardziej opłaca.

Zagranica. Amerykańskie czasopismo ilustrowane (rodzaj naszego „Światowida“) „Life“ poświęciło część jednego z ostatnich numerów Polsce. M. in. znajduje się fotografja Bogusława Miedzińskiego, z podpisem „Car polskiej prasy“.

Toscanini na indeksie. Jeden z największych kapelmistrzów świata słynny Toscanini jest we Włoszech na surowym indeksie.

Wydalono go nazawsze z granic Italji, gdyż na koncercie w Medjolanie nie chciał dyrygować hymnem faszystowskim.

Niedawno Toscanini dał kilka koncertów w Szwajcarji w Luzernie. Włosi przyzwyczajeni do swego kapelmistrza jeździli do Luzerny na te koncerty. Uczyniła to nawet małżonka następcy tronu włoskiego.

Obecnie wyszedł surowy zakaz odwiedzania koncertów Toscaniniego, nawet zagranicą. Prasa publikuje nazwiska tych, których na takim koncercie zobaczą, oraz numery ich samochodów, „aby towarzysze partji faszystowskiej mogli zapamiętać sobie raz nazawsze fizjonomje tych zdrajców“.

Fraszki polityczne

NAGRODA POKOJU

Doprawdy, dziwne są dziś czasy
i to co się na świecie dzieje:
nawet i z mistrzów paradoksu
historja się dowoli śmieje!

Bo czyż to nie jest paradoksem
i nie przedstawia dziwów obraz,
że podpalacze Europy
wnet sięgną po nagrodę Nobla?

Że ci, co niezgód sieli swary
dzisiaj pokoju zerwą palmę?
To już istotnie nie do wiary,
to już naprawdę nierealne!

PACYFISTA

Powiedział ktoś do kogoś:
ja ci utnę głowę.
Nie chcesz? — burzysz me szczere
chęci pokojowe.

Stanisława Bartnicka

RECENZJE FILMOWE

LUDZIE ZA MGŁĄ
(reż. Marcel Carne)

Nie trzeba w tym filmie szukać stereotypowych rozwiązań logicznych, nie trzeba pytać, kto i gdzie, wszystko jest w nim bowiem wyprowadzone z gęstej, mlecznej mgły, która spowija nie tylko pejzaż, ale i świadomość bohaterów. W tej dziwnej mgle snują się ludzie pozbawieni siły witalnej i rozładowani wewnętrznie: żołnierz, który uciekł z wojska, samotna dziewczyna z kabaretu, melancholijny właściciel przystani zbłąkanych dusz, neurastenicznу malarz. Nad bohaterami filmu zaciążył psychiczny kompleks mgły; jak zwierzęta schwytane w dwa ognie reflektorów — nie są w stanie wydobyć się z tragicznej matni, oswajają się więc z myślą o śmierci, a jeśli nawet czasami śmią marzyć o innem życiu, to marzenia te są tak nierealne, że ani przez chwilę nie wierzy się w możliwość ich spełnienia.

Ten film zasługuje na baczną uwagę, impresjonizm jego nie jest bowiem wynikiem przypadku, nie jest również banalną grandguignolową żonglerką, lecz świadomą i dojrzałą w wyrazie koncepcją artystyczną. Marcel Carne (i operator Schüftan) osiąga pełną wyrazu nastrojowość przy pomocy wspaniałych zdjęć plenerowych (wybrzeże we mgle), pełnego niedomówień dialogu, przedewszystkiem zaś dzięki leniwej, hamowanej świadomie potoczystości montażu. Z tą aurą wewnętrzną, która deceduje o wartości filmu, doskonale harmonizuje styl gry Jeana Gabin, Michelle Morgan i innych wykonawców.

„Ludziom za mgłą“ zarzucono defetyzm i zarzut ten nie jest pozbawiony słuszności. Zarzucono mu jednak również niemoralność, a pewne sfery wyzyskały oczywiście sposobność, żeby podnieść alarm i zażądać zdjęcia filmu z ekranu z racji jego rzekomej sprzeczności z zasadami etyki chrześcijańskiej. Należałoby skorzystać ze sposobności i od jednego zamachu zażądać spalenia dzieł autentycznego kulturbolszewika, Dostojewskiego. Na tle tryumfów stotalizowanej kultury nagonka na „Ludzi za mgłą“ posiada wymowę niemal symboliczną. To kłamstwo, że film jest niemoralny; jest tylko głęboko pesymistyczny, ale po obejrzeniu go stajemy się raczej bardziej dojrzali wewnętrznie, niż zdemoralizowani. K. A. P. mówi nieprawdę, zarzucając filmowi, że budzi złe instynkty. Złe instynkty wyzwala „Mały Dziennik“, który przoduje w napaściach na „Ludzi za mgłą“.

DRUGA MŁODOŚĆ
(reż. Michał Waszyński)

Oto jeszcze jeden film polski, w którym czytelnik pięciogroszowych romansów kolportażowych odnajdzie wszystkie akcesorja swojej ulubionej lektury. Salony, sleepingi, ruleta, ktoś kogoś kocha choć nie powinien, ktoś ma złamane serce i musi odejść. Monstrualnie rozrośnięta, syntetyczna szmira, wykąpana w obrzydliwym sentymentalizmie, utrzymana z premedytacją w ramach najlichszego banału, śmiesznie dęta od strony psychologicznej i wyposażona w brutalne pointe'y. Realizacja prymitywna i zarazem śmiesznie pretensjonalna, pozbawiony sensu montaż, aktorzy puszczeni samopas, jakgdyby nieco zażenowani i nadrabiający brak pewności siebie irytującym patosem, albo — co jeszcze straszniejsze — poprostu krzykiem.

Ten film po raz niewiadomo który nasuwa zasadnicze refleksje an temat kinematografji krajowej: nie można bezkarnie nastawiać się na widza tępego i pozbawionego minimum kultury. Film polski wobec małej chłonności rynku krajowego świadomie spekuluje na braku artystycznego wyrobienia w masach. Wynika z tego coraz dalej posunięty rozkład. Kicz filmowy mętną strugą rozlewa się po kraju, dociera tam, dokąd nie ma dostępu żywe słowo kultury i uparcie propaguje swoje prawdy, swoją przerażającą hierarchję wartości moralnych, intelektualnych i artystycznych.

P. S. Z przykrego obowiązku notuję fakt niepozbawiony pikanterji: jedynem bodaj pismem w Polsce, które zaopiniowało, że „Drugą młodość“ — **„warto zobaczyć“** jest... „Robotnik“, którego zdaniem jest to: temat **„wyższego kalibru“**, kreacja Gorczyńskiej **„nabiera akcentów realizmu i przejmującej prawdy psychologicznej“**, a realizacja Waszyńskiego **„odbiega od szablonu“**. Nie można, rzecz prosta, nikomu narzucać w tych sprawach zdania, ale poziom „Drugiej młodości“ naprawdę wyklucza wszelką dyskusję, zaś szkodliwość społeczna tego rodzaju filmów wydaje się bezsporna. Nie mielibyśmy do „Robotnika“ żalu, gdyby z braku miejsca wogóle się filmem nie interesował. Skoro jednak recenzje z filmów zamieszcza, powinien zdawać sobie sprawę ze związanej z tem odpowiedzialności. Zwłaszcza, że pismo dociera do mas robotniczych, które darzą je zaufaniem. A w takim razie nie można z czystem sumieniem polecać czytelnikom takich filmów, jak „Druga młodość“ czy zgoła „Znachor“, który również został w „Robotniku“ entuzjastycznie omówiony.

Jerzy Bossak

Uczczenie Niepodległości

O amnestję. Klub Demokratyczny w Warszawie przyłącza się do głosów demokratycznych stronnictw i prasy, wypowiadających się za uczczeniem dwudziestolecia niepodległości Polski przez najszerszą amnestję dla wszystkich więźniów, pospolitych i politycznych, dla emigrantów politycznych, dla izolowanych w obozie odosobnienia, upatrując w takim akcie najgodniejszy sposób uczczenia uroczystej rocznicy, oraz najlepszą drogę do istotnej konsolidacji społeczeństwa.

W najbliższym numerze „Sygnałów“ ankieta:

„DLACZEGO JESTEM DEMOKRATĄ?“

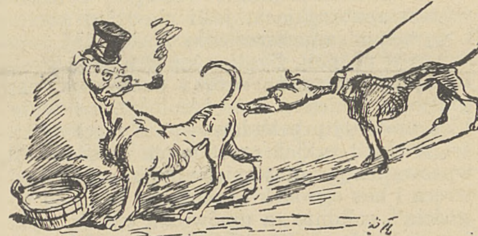
Świat w karykaturze

rys. Juljusz Krajewski



Lisie Biuro Informacyjne.
Lisie Biuro Informacyjne donosi: „Lis, wpadłszy na podwórze, został entuzjastycznie przyjęty przez drób. Kogut popełnił samobójstwo“.

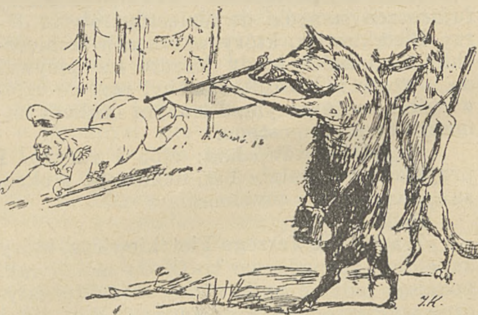
Strusie.
„Zdaje się, że burzy nie będzie — to tak na pogodę błyska“.



Nowe metody w stosunkach dyplomatycznych. Specjalny wysłannik sonduje opinję sfer miarodajnych.



Zajście graniczne.
„Zdejm te rogi, koźle, bo one mnie prowokują“.



Odwet na wielkim łowczym.
„Celuj, dziku, dobrze — od tego strzału zależy życie nas wszystkich“.



Przestroga dla rasowców.
Knock-out od silniejszego kundla i w ciągu 2 minut pryska legenda o niepokonanym buldogu.



Przyczynek do badań nad włoskim rasizmem.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**